EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 27 sierpnia 1933 R. | NR. 35 (48)

Prawo i przywilej

Kulisy filmu polskiego

Dar ludożerców

Żeby nie policja...

Reportaż „Epoki”

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki. Dział Zespołu „Przedmieście“.

AUTORZY: Wasowski. Cękalski. Dobrot. Lukrec. Oborski. Milkiewiczowa. Muszałówna.

C

Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

MANHATTAN PUSTOSZEJE

Nowojorskie pismo *The Nation* ogłosiło interesujący artykuł o „Klęsce drapaczy nieba". Pismo stwierdza stały spadek zaludnienia centralnej dzielnicy New-York City. Mieszkańcy przenoszą się na przedmieścia, gdzie za niższą cenę otrzymują więcej przestrzeni, światła i powietrza. Liczba pustych mieszkań New-Yorku osiąga obecnie 15%. W dzielnicy Manhattan odsetek ten wynosi 50%! Dzielnica ta przygotowała sama grunt pod swoją klęskę. Każdy z wielkich *building* powstał kosztem innych. Budowle dwudziestopiętrowe zabierały światło i powietrze budynkom dziesięciopiętrowym, czterdziestopiętrowe odegrały tę samą rolę wobec dwudziestopiętrowych, a sześćdziesięciopiętrowe uzupełniły to dzieło „aneksji światła i powietrza". Lokale Manhattanu, znajdujące się poniżej 10-go piętra, są istnemi piwnicami.

The Nation przepowiada dalszy proces wyludnienia miast amerykańskich nawet, gdy kryzys minie. W mieście pozostaną jedynie biura, domy handlowe, banki, hotele klubowe i lokale rozrywkowe. Ośrodkiem mieszkalnym będzie wieś.

»MUZEUM REWOLUCJI«

Za przykładem faszystowskim i bolszewickim hitlerowcy zorganizowali swe własne „Muzeum Rewolucji". Aby przeciętny obywatel nie sądził, że „nazi" doszli do władzy tylko przy pomocy kartek wyborczych i bezrobotnej młodzieży, „Muzeum Rewolucji" ma na celu wykazać „bohaterskie czyny" narodowych socjalistów. Zebrano więc tam dowody „potężnych zmagań o Berlin, materjały z okresu mordów kapturowych, bójek ulicznych z komunistami, mnóstwo swastyk, nieco broni i nawet... popiersia Lenina i Stalina.

„Muzeum rewolucji" znajduje się w lokalu dawnego, przez hitlerowców zniszczonego „Muzeum antywojennego", w którem demokracja niemiecka zebrała pokaźną ilość eksponatów, zohydzających wzajemną rzeź ludów.

GŁÓD

Tygodnik paryski *Je Suis Partout* zamieścił obszerny artykuł p. t. „Rosja umiera z głodu". Delegat Czerwonego Krzyża ogłosił list, w którym na podstawie posiadanych przezeń dokumentów stwierdza, że głód osiągnął olbrzymie rozmiary. Dzieci masowo umierają. W okręgach rolniczych Ukrainy i północnego Kaukazu zdarzają się wypadki kanibalizmu. W sprawozdaniu generalnego sekretarza Kongresu Narodowościowego widnieją wstrząsające cyfry śmiertelnych wypadków głodowych, które miały miejsce w ciągu ostatnich 6 miesięcy na terenie Z.S.R.R. Coraz liczniejsze są tam bandy dzieci-włóczęgów.

Kolektywizacja gospodarstw chłopskich i rekwizycje zbożowe sprawiają, że w przeciwieństwie do głodowego roku 1920, obecnie cierpi więcej wieś, niż miasto. Coprawda w ośrodkach przemysłowych i wiejskich ilości chleba, dostarczane przez kooperatywy i sekcje odżywiania są niewystarczające, lecz za cenę wysoką, pochłaniającą znaczną część zarobku można zaopatrzyć się w żywność na prywatnym rynku lub w składach państwowych.

Ukraina znajduje się w tak rozpaczliwej sytuacji, że komisarz odżywiania Mikojan zainicjował plan zmniejszenia zbożowych rezerw czerwonej armji dla ocalenia ludności. Chłopi, dziesiątkowani przez nędzę, mają zamknięty dostęp do miast. System „paszportów wewnętrznych" uniemożliwia im dostęp do wielkich ośrodków przemysłowych. Sytuację wsi pogarsza napływ „elementów niepożądanych", wymieconych podczas „czystki" paszportowej z miast.

Najciężej dotknięty głodem jest okręg Kubański, uważany przez całą prasę sowiecką za „najniebezpieczniejszy rejon kułacki". Rekwizycje masowe pozbawiły ludność żywności. Podobnie wygłodzone są stare kolonje Niemców nadwołżańskich, w których odsetek śmiertelności stale wzrasta. Szerzą się epidemje.

Celem opanowania wzrastającego wśród chłopstwa niezadowolenia i buntu, powstały specjalne Sekcje Polityczne, przydzielone do wiejskich Stacyj Traktorowych.

»POD PRĘGIERZEM«

Niektóre dzienniki niemieckie wprowadziły nową rubrykę o charakterze jawnie denuncjatorskim. Norymberski *Der Sturmer stawia* „Pod pręgierzem" opinji hitlerowskiej Niemki, które utrzymują stosunki z niearyjczykami, wymieniając je z nazwiska i publikując ich fotografje. Oto próbki tej „rasowej denuncjacji":

„Żyd Ernst Arnstein posiada przy ulicy Adlera 31 garsonjerę, w której przyjmuje swoje kochanki. Obecna jego przyjaciółka Inge Maner, zamieszkała przy Augustinerstrasse 33, nietylko odwiedza mieszkanie swego niearyjskiego gacha, lecz ponadto z pożałowania i pogardy godną bezczelnością pokazuje się z nim w publicznych lokalach Norymbergi.

„Dziewiętnastoletnia Anna Brehm, zamieszkała na Karlstrasse 73, ma przyjaciela Żyda Breyera. Ponieważ zaloty jednego semity są dla niej, widać, niewystarczające, utrzymuje ponadto stosunki z drugim Żydem — Guggenheimem. Rozpustna dziewczyna odwiedza lokale rozrywkowe w towarzystwie swych semickich przyjaciół. Ostrzegamy! Nie potrzebujemy chyba dodawać, co czeka ją i jej gachów, jeśli nadal będą uprawiali swoje rozpustne praktyki".

NĘDZA MARYNARZY

Anglja posiada 60 tysięcy bezrobotnych marynarzy. Sześćdziesiąt tysięcy ludzi, których zawodowe umiejętności nie mają żadnej wartości na lądzie, sześćdziesiąt tysięcy ludzi morza, pozbawionych właściwego żywiołu, przypomina swą rozpaczliwą sytuacją losy rozbitków okrętowych.

Bezrobocie objęło zarówno zwykłych majtków jak i oficerów i kapitanów okrętowych. Oficerowie marynarki, którzy odbyli wyższe studja, zmuszeni są do przyjmowania najprostszej pracy majtków. Zdarzają się wśród nich nieobuci i odziani w łachmany „reprezentanci floty morskiej Wielkiej Brytanji".

Nędzę marynarzy ujawnił przed opinją angielską kapitan Frank Shaw, który na łamach prasy londyń-

skiej opisuje smutne losy współtowarzyszy pracy. Daje wyraz swemu oburzeniu na niewdzięczność Anglji dla jej „synów morza". Przypomina losy sir Waltera Raleigh'a, który utrwalił wpływy brytyjskie w Ameryce i zwyciężył Armadę, a w nagrodę... skazany został na 12 lat więzienia po procesie, dziś uznanym przez Anglików za „wyjątkowy i jedyny pod względem użytych fałszerstw, oszczerstw i kłamstw". Kapitan Shaw uważa, że losowi Raleigha dorównywa dziś los tysięcy marynarzy, o których władze absolutnie nie troszczą się. „Pomijając już powszechne zjawisko degradacji przymusowej oficerów, zatrudnionych często przy najprymitywniejszych robotach okrętowych, należy uznać za niegodziwą i okrutną obojętność rządu, który toleruje skrajną nędzę, głód, poniewierkę i bezdomność pracowników brytyjskiej floty morskiej, która w całym świecie słynie z potęgi i bogactwa.

„Właściciele okrętów zdobyli przed wojną olbrzymie fortuny. Każdego roku kompanje nawigacyjne odpisywały z pozycji dochodów fundusz amortyzacyjny. Czyniono tak w przewidywaniu zużycia maszyn, narzędzi, lecz nie pomyślano o zużyciu się materjału ludzkiego, nie zabezpieczono pracownikom, narażonym każdej chwili na śmierć w walce z żywiołami — pewnej egzystencji".

Prasa odpowiedziała na apel kapitana Franka Shawa propagandą „samowystarczalności morskiej", która ma polegać przedewszystkiem na wyrugowaniu z floty brytyjskiej marynarzy cudzoziemców oraz na korzystaniu w ruchu osobowym i towarowym wyłącznie z okrętów angielskich: „Jedynie „protekcjonizm" morski uratuje zachwianą w swej egzystencji flotę Wielkiej Brytanji oraz jej pracowników, którzy dziś są nędzarzami". Temi słowami kończy się apel kpt. Franka Shaw'a, ogłoszony w całej prasie.

ZAROBKI W STOLICY

Według danych wydziału statystycznego zarządu miejskiego, opracowanych na podstawie statystyki Kasych Chorych z roku 1931 (sprawozdanie Kasy Chorych za rok 1932 jeszcze się nie ukazało), 50 zł. i mniej miesięcznie zarabiało w 1931 r. 23.554 członków Kasy Chorych (9.6 proc.); od 51 do 75 zł. — 64.471 (27.6 proc.); od 76 do 150 zł. — 61.705 (25.2 proc.); od 151 do 300 zł. — 54.696 (22.3 proc.); od 301 do 500 zł. — 23.186 (9.5 proc.); 500 zł. i więcej — 14.306 (5.8 proc.).

Odsetek, zarabiających najwyżej 75 zł. miesięcznie wynosi ok. 30 proc.; przeszło 50 proc. ubezpieczonych zarabia mniej niż 150 zł.; zaledwie 15 — 20 proc. członków zarabia powyżej 300 zł. miesięcznie. Są to wyłącznie pracownicy umysłowi. Zarobki robotnicze wahają się od 50 do 150 zł. Wpływ kryzysu na poziom zarobków daje się zauważyć już w 1930 r. Członkowie zarabiający poniżej 150 zł. stanowili w 1929 r. 52.1 proc., gdy w roku 1931 — 62.4 proc.

Na podstawie tej statystyki można wysnuć niezbyt daleki od ścisłości wniosek, że dwie trzecie ludności Warszawy zarabia mniej, niż 150 złotych miesięcznie.



PRAWO, PRZYWILEJ I ZASŁUGA

Mowa płk. Walerego Sławka o nowym projekcie zmiany konstytucji wzbudziła liczne zastrzeżenia. Najwięcej wątpliwości nasunęła zapowiedź nadania praw wyborczych do Senatu jedynie kawalerom orderu Virtuti Militari i Krzyża Niepodległości, t. j. jakimś kilkunastu tysiącom obywateli. Tak wybrany Senat miałby następnie decydować o tem, jakim jeszcze kategorjom obywateli przyznać należy prawo wyborcze do Senatu.

Przez taką koncepcję wyborczą projekt ów stanowi *novum*, nieznane w dziejach myśli konstytucyjnej. Lecz to, że jest tak oryginalny i nowy, nie wywołałoby niespokojnego zdziwienia w czasach, kiedy tyle rzeczy nowych dzieje się na arenie politycznej świata. W ocenie projektu płk. Sławka nie powinny przeszkadzać odruchy konserwatyzmu, przyzwyczajenia, ducha dawności. Należy wciąż pamiętać, że wszystkie normy i kryterja ulegają dziś rewizji i że czasy nasze są epoką eksperymentów, jeszcze dalekich od t. zw. stabilizacji. Rozsądek i poczucie rzeczywistości nakazują, by nie opierać się rzeczom nowym tylko dlatego, że są nowe.

Mimo naszą pełną gotowość do przyjęcia zmian i nowin, nieznanych dziejom politycznym, widzimy w projekcie płk. Sławka zbyt daleko idącą próbę rewizji pewnych pojęć społeczno-politycznych.

Samo pojęcie prawa obywatela zostało tu zakwestjonowane, a ta właśnie sprawa interesuje nas przedewszystkiem. Prawo wyborcze — po wielu walkach, przewrotach, rewolucjach — stało się prawem obywatela, w niektórych zaś państwach nawet — obowiązkiem przymusowym. Kto z tego prawa chce uczynić *przywilej*, niszczy podstawę równości obywatelskiej. Projekt płk. Sławka zapowiada *wyłom* w obowiązującej już zasadzie równości obywateli wobec prawa. Przywilej wyborczy szedł w parze z innemi przywilejami prawnemi — w czasach, kiedy nawet przestępstwo było w różny sposób karane, zależnie od klasowej czy stanowej przynależności przestępcy. Przywilej wyborczy godził się w tych czasach z całokształtem przywilejów prawnych, politycznych i społecznych. Dziś, przy zwycięskiej zasadzie równości wobec prawa, obdarzanie przywilejem wyborczym tylko pewnej kategorji obywateli byłoby czemś paradoksalnem, byłoby anomalją, trudną do przeprowadzenia, a już niemożliwą do utrzymania na dalszą metę.

Według nowego projektu zmiany konstytucji pierwszy poczet wyborców zasłużonych składać się ma z obywateli odznaczonych. Nikt wszelako nie będzie twierdził, że po za odznaczonymi niema ludzi zasług. Aparat odznaczający nie działa tak idealnie, żeby móc w całem społeczeństwie dostrzec i wy-

różnić zasługę, a już napewno nie dojrzał jej w zastępach cichych pracowników, pełniących dobrze i ofiarnie swoje dzieło obywatelskie. Z rzędu oficjalnie zasłużonych odpadają też w całości masy ludowe. Lecz nie badajmy tu kwestji ograniczenia terenów zasługi. Rozszerzanie czy zwężanie tych terenów to sprawa natury ubocznej wobec rzeczy zasadniczej: prawo wyborcze nie jest nagrodą za zasługi. Kiedy feministki walczyły o równouprawnienie kobiet, powoływały się na kobiety wybitne w nauce, literaturze, sztuce. Był to argument fałszywy. Równe prawo chodzenia po ulicy nie wymaga argumentu, że wśród przechodniów znajdują się też jednostki niepospolite.

Prawo wyborcze, objęte współczesną zasadą równości wobec prawa, najsilniej sprzęga społeczeństwo z państwem, jako domagające się czynnego udziału obywateli w życiu politycznem. Zwężenie, a raczej wypaczenie tego prawa przez uczynienie zeń przywileju, stoi w sprzeczności z troską o rozbudzenie i upowszechnienie poczucia interesu państwowego w masach najszerszych, troską, która tak mocną i głęboką nutą brzmi w mowie płk. Sławka. Ustawowe zaliczenie przytłaczającej większości obywateli do rzędu „niezasługujących" na równe prawo wyborcze, wydatnie ożywiłoby i tak już z wielu względów silne uczucie pokrzywdzenia, co przecież nie leżałoby w interesie państwa. *J. W.*

KULISY FILMU POLSKIEGO

Nawet na tle ogólnej dewaluacji kulturalnej, jaką przeżywamy, przeraźliwie niski poziom polskiej wytwórczości filmowej jest zjawiskiem zastraszającem. Podczas, gdy zagranica ocenia już w zupełności potężną rolę kulturalną widowiska tak upowszechnionego jak kino, u nas wszystkie zjawiska filmowe zachodzą poza nawiasem kultury, nie są brane pod uwagę w ogólnym budżecie kulturalnym. „Miarodajne czynniki", stojące na straży polskiej kultury walczą — bez skutku zresztą — o przełamanie ogólnej depresji i marazmu na odcinkach literatury, plastyki i muzyki — nie doceniając zupełnie faktu, że stan polskiego kina, które dociera wszędzie, jest zatrważająco niski, że kino to degeneruje poziom publiczności, obniża w zadziwiający sposób wrażliwość kulturalną mas, pielęgnując specjalnie troskliwie ideologję Grajdołków i Wygłupinów.

W obliczu takiej sytuacji żaden protest, żadne oskarżenie nie jest dość silne i zbyteczne. Trzeba zadać sobie trud i zanalizować przyczyny, które tak sprzyjają rozwojowi bzdury i widowiska, które nawet mało wymagający aktorzy określają mianem „szmiry". Oczywiście zjawisko to jest nieodłącznem i koniecznem uzupełnieniem międzynarodowego stanu rzeczy, który pogrąża nas w kryzysie życia ekonomicznego i politycznego. Kryzys kulturalny jest prostem następstwem kryzysu całej struktury świata, z tego jednak nie wynika, aby ludzie, tworzący kulturę, mieli pogrążać się w płytkiem i grząskiem błocie marazmu. Zachód przeżywa kryzys intensywniej od nas — stwarza jednak w dziedzinie filmu tak potężne próby wyłamania się z bezwładu jak Réné Clair, Pabst, King Vidor, Mamoulian i inni. Faszystowskie Włochy starają się znaleźć jakiś wyraz artystyczny swej współczesności w filmie. Czesi umieją znaleźć styl, kontynuować dramat psychologiczny i komedję na drodze twórczości filmowej. Polska, która może się szczycić, mimo ogólnego kryzysu, swoją literaturą, plastyką i muzyką, w dziedzinie filmu nie robi nic, pozostawiając tłumy widzów na żer bezwartościowej, bezmyślnej propagandy głupoty. Dlaczego nie powstała polska sztuka filmowa? Jakie są specyficzne okoliczności, tolerujące dotychczasową robotę rekinów filmowych?

Przedewszystkiem odpowiedzią na to jest standartowa postać t. zw. „polskiego filmowca", pana, który jest łaskawym dostawcą wzruszeń dla mas i uważa się za pioniera polskiego przemysłu i sztuki. Typ „polskiego filmowca" powstał z nizin spekulacji i rabunkowego geszefciarstwa. Zupełna pustka w dziedzinie filmowej, jaką zastała w Polsce niepodległej gromada spekulantów, sprawiła, że ludzie ci rozpanoszyli się i nadługo zostali niezastąpionymi. Rzuciwszy się na tematy najbardziej kasowe, na handel patrjotyzmem i erotyką, nie byli w stanie nadać tym zjawiskom żadnego poziomu kulturalnego, gdyż sami dalecy byli od jakiejkolwiek kultury, poza powojenną etyką łatwej spekulacji. Przyciągnęli wprawdzie ku sobie szereg przeważnie mniej wartościowych jednostek z teatru, weszli w kontakt z reprezentantami literatury, którzy o filmie nie mieli żadnego pojęcia, operując ich nazwiskami, skompromitowali ich, nic nie pozwalając zmienić ani uzdrowić, gdyż reprezentowali wciąż w opinji, nic o filmie nie wiedzącej, „fachowość" — no a przedewszystkiem reprezentowali siłę pieniądza, której wegetująca w ubóstwie warstwa kulturalna nie mogła się oprzeć. Zanim ludzie, reprezentujący polską kulturę, zdążyli się zorjentować, popyt na bzdurę wzrósł tak potężnie, że siła panów „filmowców" uniemożliwiła już jakikolwiek opór. Przyszła faza odwrotu z placówek hurra-patrjotyzmu, nadeszła fala „szmoncesów", żołnierskich fars i cyrku. Znowu wciągnięto do współpracy nic nie wiedzących o filmie potentatów polskiej rewji i komedji, którzy na tym nowym specyficznym gruncie okazali się tylko narzędziem w ręku producenta, nie umiejąc nic ze swego teatralnego talentu przenieść na ekran.

Wszelkie protesty, których od paru lat nie brak, rozbić się muszą o tępotę ludzi decydujących w branży filmowej oraz o brak niezależnego kapitału, któryby mógł poprowadzić produkcję na inne tory. Tutaj zawinił specjalny typ spekulacji i organizacji przemysłowej, jaki się w polskim filmie wykształcił. Opinja o polskich filmach, jako przedsięwzięciach finansowych, jest bardzo smutna. Każdy film dawał zysk, ale tych zysków nigdy nie oglądał finansista, ani pracownik. Zyski zagarnia falanga pośredników, cała gromada żerujących po kawiarniach rekinów filmowych. Oto ludzie, którzy decydują o polskiej produkcji filmowej. To czarna

giełda, która może rozwijać się i prosperować dzięki niesłychanemu rozprężeniu, jakie panuje w organizacji produkcji każdego polskiego filmu. Z tej przyczyny każda impreza filmowa nosi zawczasu opinję oszukańczej afery i odstręcza wszystkich, którzy mogliby organizację produkcji uporządkować.

Reżyserowie polskich filmów nietylko nie umieją w przeważającej większości robić filmów, lecz nie umieją także (to już chyba wszyscy) gospodarować pieniędzmi. Każdy film staje się terenem nadużyć, rozrzutnego i nieracjonalnego gospodarowania, wyzysku pracowników i t. p. Cała ta skomplikowana machina, jaką jest wytworzenie jednego filmu, działa niesprawnie i psuje się raz po raz. Jeżeli na czele produkcji stoją ludzie o niskiej kulturze, rezultaty siłą rzeczy muszą być smutne. A jednostki kulturalne, które zjawiają się tak rzadko zresztą, nie mogąc sobie dać rady z zardzewiałą machiną, produkują utwory o dziesięcioprocentowej wartości.

Ten smutny stan rzeczy zmusza do refleksji, zmusza do zapytania: cóż na to rząd, prasa, społeczeństwo? Niestety, wszystkie te czynniki, którym tak bardzo zależeć powinno na poziomie kultury polskiego widza, nie zdołały odegrać w tej sprawie właściwej roli. Czynniki rządowe oddziaływały na produkcję filmową, jak dotychczas jedynie za pośrednictwem cenzury, czyli Centralnego Biura Filmowego. Wychodziły stamtąd poza instrukcjami czysto cenzuralnemi rozkazy i okólniki „żeby było lepiej". Na „odprawach" padały gorzkie słowa prawdy i następował powrót do status quo. Dopiero ostatnie zmiany ustawowe (podatkowe) stwarzają możliwość ingerencji w te sprawy czynników właściwie kompetentnych, t. j. Min. W. R. i O. P. Krótki przeciąg czasu nie zdążył jeszcze ujawnić rezultatów.

Stosunek prasy do filmu był zazwyczaj haniebny. Poza nielicznemi jednostkami, które śmiało pisały co myślą, działy krytyki filmowej ograniczały się zwykle do płatnych wzmianek i recenzyj oraz uzależnione były przeważnie od ilości ogłoszeń. To też wszelkie próby naprawy z tej strony zawiodły, jak dotąd i ograniczyć się musiały do dorywczych wystąpień. Społeczeństwo reagowało bardzo specyficznie. „Wyższe dziesięć tysięcy" odwróciło się z arystokratyczną niechęcią od polskiego filmu. „Niższy miljon" szalał z miłości dla Smosarskiej, Brodzisza i t. p. Próby zorganizowania młodzieży, która pragnie walczyć o lepszy film, są dopiero w zarodku.

Jednakże tylko drogą propagandy, drogą zrzeszania się, możliwe jest uzdrowienie stosunków i podniesienie polskiego filmu na taki przynajmniej poziom, jaki w bieżącej chwili jest możliwy. Opieka nad polską awangardą, która usiłuje zorganizować się i eksperymentować, życzliwy stosunek do produkcji artystycznych dodatków, pomoc w walce z właścicielami kin, którzy, płacąc grosze za polski dodatek, uniemożliwiają handlową kalkulację krótkometrażowej produkcji — oto czego muszą się domagać przedstawiciele tych filmowców, którzy szczerze pragną zmiany fatalnego stanu rzeczy. Tej pomocy udzielić im może rząd, prasa, społeczeństwo. O ile udzieli — coś się powinno zmienić na lepsze, bo talent w dziedzinie filmu może się rozwinąć jedynie w sprzyjających warunkach materjalnych.

Eugenjusz Cękalski

REPORTAŻ „EPOKI"

W FABRYCE PROTEZ

— „Wojna, proszę pana, posunęła technikę robienia protez (t. zw. protetykę), o ładnych parę lat naprzód" — mówił do mnie kierownik fabryki.

Cóż tam znaczą biedni inwalidzi „pokojowi" — sporadyczne ofiary pracy, chorób lub wypadków wielkomiejskich? To fraszka. Zaledwie kilku na tydzień i drobiazgi w dodatku. Conajwyżej obcięcia palców, stóp, zrzadka tylko poważna, większa amputacja. Prawie niema na kim eksperymentować! Ani mowy być nie może, by w tak nędznych warunkach mogła się technika protetyczna rozwijać.

Wojna światowa, to dopiero był czynnik rozwoju! W trosce o postęp techniki dała protetyce hojną ręką materjał doświadczalny. Sama Polska otrzymała ponad 150 tysięcy inwalidów i to solidnych, wojennego gatunku. Przed protetyką polską otworzyły się nieograniczone możliwości. Nadano pracy amerykańskie tempo i już w ciągu pierwszych trzech lat wykonywano po 10 tysięcy eksperymentów rocznie. W ciągu krótkich piętnastu lat 150 tysięcy młodych ludzi będzie posiadało sztuczne kończyny, świetnie skonstruowane...

***

— „Zdejmowanie miary" polega na wykonaniu dokładnych modeli gipsowych zdrowej i okaleczonej kończyny inwalidy. Inwalidzi przyjeżdżają w tym celu do fabryki. Tu właśnie jest suszarnia gipsowych modeli".

Suchy, bardzo ciepły pokój robi ponure wrażenie, choć wszystko w nim jest białe. Na sznurach wiszą w długich szeregach gipsowe modele najrozmaitszych wielkości i kształtów. Ilość ich jest tak wielka, że wierzyć się nie chce, by każdemu odpowiadał żywy człowiek, pozbawiony ręki lub nogi. Dopiero wspomnienie liczby 150 tysięcy uprzytamnia, że to, co widzę, jest tylko maleńką cząstką ogólnej ilości protez potrzebnych Polsce.

Chociaż wśród wiszących modeli nie brak kończyn słabych i wątłych, to jednak większość stanowią ramiona i nogi muskularne i silne, niektóre o klasycznej budowie. Widać ponad wszelką wątpliwość, że to ciała młodych i zdrowych mężczyzn „pozowały" do tych rzeźb. Wprawne oko dostrzeże i wyróżni smukłą rękę inteligenta miejskiego, węzłowate ramię kosiarza lub piękny zarys mięśni sportowca.

Pod jednym względem są jednak wszystkie do siebie podobne: obok każdej wisi jakaś dziwna, bezkształtna bryła gipsowa. Nie widzę w niej nic ludzkiego. Muszę pytać o wyjaśnienie... To modele tych szczątków, których odłamek pocisku lub granat nie urwał, a gangrena i nóż chirurga oszczędziły. Będą teraz przez całe życie towarzyszyły ręce lub nodze zdrowej, jako dośmiertne wspomnienie tego, co kiedyś również było z krwi i kości.

Kilka nóg, wśród których znajduje się jedna przykuwająca oczy, wyjątkowo muskularna i piękna, prawie naturalnej wielkości, wisi zupełnie samotnie. Nawet tego wspomnienia o drugiej nodze, w postaci bodaj strzępu uda, niema... Tak zwane wyłuszczenie stawu, t. zn., że amputacja sięgnęła aż do stawu biodrowego.

Przy każdym modelu numerek. Żeby pomyłek nie było. Żeby nikt cudzej nogi nie zabrał. Starą nogę, tę, co pozostała w lazarecie, toby każdy z tysiąca

poznał (pamięta na niej każdy odcisk i zadrapanie od drutu kolczastego), ale z nową — sztuczną — trzeba już być ostrożnym. Na pierwszy rzut oka trudnoby ją było z pośród innych, obcych, wybrać. Łatwo się o jeden numer pomylić i gotowa niedokładność w chodzeniu, a to byłoby ciosem dla ambicji fabryki, która dąży do tego, aby młodzi mężczyźni jaknajładniej i najsprawniej maszerowali. Ideałem jest oczywiście, by na sztucznych protezach maszerowali tak samo, jak wtedy, gdy jeszcze — przed lazaretem — ich własne nogi dźwigały brudne, ciężkie buty i skrępowane były szarozielonemi owijaczkami...

Ideał ten jest już bezmała osiągnięty... Człowiek, któremu obcięto do połowy, lub jednej trzeciej udo, pozwala dobrze dopasować i przymocować protezę, chodzi na niej prawie tak, jak na nodze własnej. Wogóle — przyznałem w duchu — doskonałość nogi z mięsa i kości jest lekko przesadzona. Przecież właściwie ta stara noga z lazaretu zawsze sprawiała właścicielowi jakiś kłopot. Nie mówiąc już o zwykłych odciskach, stwierdzimy bez trudu mnóstwo innych utrapień. A to reumatyzm, a to artretyzm, a to woda w kolanie, a to odmrożenie, czasem nawet zwykły pies ją ugryzł, jednem słowem, ciągle zmartwienia i niewygody. Nic podobnego niema w nodze sztucznej, zrobionej na miarkę według gipsowego modelu, ze skóry na lekkim stalowym szkieleciku. Przedewszystkiem jest od starej bez porównania łżejsza, więc znacznie mniej męczy w czasie długich marszów. Nigdy nie boli, o reumatyzmie i psach nawet wspominać nie warto. Wyższość nad nogą zwykłą aż bije w oczy i doprawdy trzeba być skończonym pacyfistą, aby myśleć inaczej. Kto jeszcze nie przyznał mi racji, ten chyba ma protezę zamiast głowy.

Ruchy posiada przecież sztuczna noga te same, co zwykła, bo jej sprężynki i dźwigienki są doskonałą kopją natury. Stary staw kolanowy został dokładnie podpatrzony i obecnie ze swoją wodą, wysiękami, jabłkiem, tak łatwo a boleśnie się tłukącem, jest nędznym, niedoskonałym tworem bezmyślnej natury w porównaniu z pięknemi zawiasami na łożyskach kulkowych. Wprawdzie nie można — jak dotąd — podskakiwać na sztucznej nodze, ani wskakiwać do tramwaju, no, ale... młodzi jeszcze jesteśmy... Jeszcze jedna, dwie wojenki, jeszcze z trzysta tysięcy naukowych eksperymentów, a napewno i ten szkopuł zostanie usunięty. Musimy być cierpliwi. Przecież wiemy, ilu to trzeba doświadczeń, by w nowej gałęzi wiedzy, lub techniki do czegoś dojść. Wspomnijmy cierpliwość wynalazców i uczonych, a nabierzemy pewności, że nauka wszystko potrafi. Ufni w rozwój techniki, mamy prawo się spodziewać, że po przyszłych wojnach nogi sztuczne staną się nawet doskonalsze od zwykłych. Wyobrażam sobie naprzykład, że sczasem sztuczna noga będzie tak świetnie skonstruowana, iż umożliwi ludziom skakanie na kilkanaście metrów. To byłoby naprawdę wspaniałe. Rekordzistami olimpijskimi byliby tylko inwalidzi wojenni. Ale cóż, do tego trzeba jeszcze wielu, wielu lat doświadczeń, a tu już niedługo stary zapas inwalidów się skończy...

***

— „To jest sztuczna ręka.. Owoc wieloletnich naszych eksperymentów i badań".

Rzeczywiście — jeśli ją przykryć rękawem marynarki, a dłoń schować w rękawiczkę, to na pierwszy rzut oka wcale się nie różni od zwykłej. Zgina się w łokciu, unosi, zamyka dłoń, pozwala na podnoszenie ciężarów i noszenie ich, kto wie, może nawet się przytem mniej męczy niż ręka zdrowa, bo nie trzeba żadnego wysiłku, aby usztywnić ramię w łokciu. Poprostu, znakomita maszyna posiada przegub łokciowy tak urządzony, że bez wykonania odpowiedniego ruchu barkiem zdrowej ręki, do którego cienkim pasem, biegnącym wpoprzek pleców, jest proteza przymocowana, niepodobna zgiąć ani wyprostować łokcia. Daje to nadzwyczajną pewność chwytu, wprost gwarancję, że tego, co się raz chwyciło, już się napewno nie wypuści niechcący. Co za wspaniałe urządzenie dla mieszczucha, obładowanego zawsze paczkami, któremu czasem ręce mdleją, a boi się je rozprostować, bo mu któraś z paczuszek wypadnie. Wprawdzie w ruchach ręki sztucznej czai się jeszcze jakaś automatyczność, jakaś doskonałość maszyny, której ruchy są obliczone i oszczędne, ale gdy biorę dłoń protezy w swoją i odwracam głowę, doznaję wrażenia, jakbym trzymał żywą, mocną rękę ludzką w rękawiczce. Palce, zrobione z odpowiednio giętych sprężynek, mają miękkość i twardość moich własnych palców, a gdy naskutek odpowiedniego ruchu zaciskają się na mojej dłoni, robi mi się wyraźnie niedobrze, tak niesamowicie ludzki jest ich uścisk. — Wyrywam dłoń czemprędzej i chowam ją do kieszeni, a proteza rozprostowuje palce powoli, powoli, jakby się czaiła do złapania muchy.

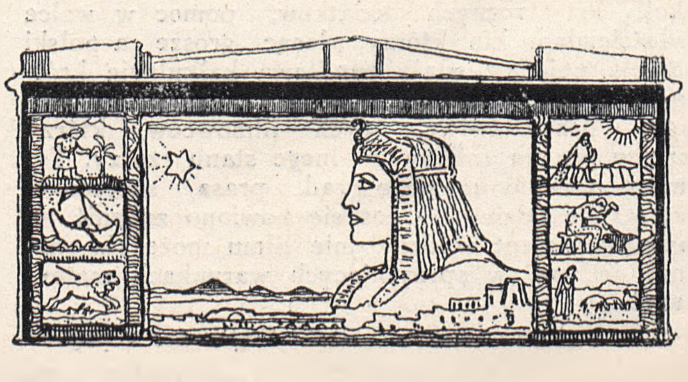
Przyglądam jej się uważnie.

Dziwne trochę się wydaje, że ręka sztuczna — jak dotąd — choć potrafi zamykać i otwierać całą dłoń odrazu, nie potrafi jeszcze poruszać pojedyńczemi palcami. No, ale to jest przecież mało ważne... chyba dla pianisty... Pozatem rzecz jest bez zarzutu. Dobrze jest chyba mieć taką...

W człowieku jednak siedzi niedowiarek. Szukam w niej innych wad, ale coś mi dziwnie przeszkadza w obserwacji. Mały lecz uparty ruch własnych palców w irytujący sposób absorbuje moją podświadomość. Umysł podziwia sztuczną rękę, zaczynam niemal zazdrościć jej przyszłym właścicielom, a własne palce gonią małe dziesięciogroszówki po zakamarkach kieszeni, wścibiają się wszędzie, wyczuwają, liczą, obejmują maleńkie pieniążki, niemal je pieszczą.

Okazywanie mi w tej chwili, że Natura sama, bez wojen, odrazu, dała im bajeczną chwytliwość, giętkość, ruchliwość i ową cudowną zdolność błyskawicznego przystosowywania się do kształtu i wielkości obejmowanego przedmiotu, uważam ze strony moich palców za zwykłą, pacyfistyczną demonstrację i za karę wyciągam je natychmiast — w trybie doraźnym — z kieszeni...

Aleksander Dobrot



ODGŁOSY

DAR LUDOŻERCÓW

W przedsiębiorstwie handlowem każdy klijent jest dobry, byle płacił. „Nawet z ludożercami się handluje" — rzekł Lloyd George, kiedy jeszcze zastanawiano się w Anglji, czy wejść w jakiekolwiek stosunki z Z. S. R. R.

Inaczej sprawa powinna się przedstawiać w instytucjach, które albo nie mają interesów handlowych na względzie, albo liczą się nietylko z zyskiem materjalnym, albo choćby głoszą, że im o ten zysk wcale nie chodzi. Naprzykład — w organizacji wyznaniowej, pozyskującej wiernych na wszystkich krańcach ziemi przez rozmaite misje.

W biuletynie prasowym Katolickiej Agencji Prasowej (K.A.P.) z dnia 11 b. m. podano p. t. „Niezwykły dar dla Papieża" depeszę z Citta del Vaticano tej treści:

„Miasto Watykańskie (K.A.P.). Jedno z ludożerczych plemion Nowej Gwinei, przyjąwszy niedawno wiarę katolicką, postanowiło zaznaczyć swe oddanie się Ojcu Św. przez ofiarowanie Mu jednego z najpiękniejszych ołtarzy, który był obciągnięty skórą sześciu zabitych i zjedzonych ludzi."

Istotnie, ofiarowanie tak pięknie sporządzonego ołtarza mówi o entuzjastycznym stosunku owego plemienia do Papieża. Ale jednak coś się tu z czemś nie zgadza... Sam rodzaj upominku świadczy, że tych ludożerców nauczono wiary chrześcijańskiej niedokładnie.

Misje katolickie i rozmaite filje lokalne Kościoła tolerują różne tradycje nawróconych plemion. W afrykańskich kościołach katolickich, naprzykład, murzyni tańczą podczas nabożeństwa. Takie lub inne ceremonje religijne, mogą nie przeczyć istocie wiary chrześcijańskiej. Ale ludożerstwo... Logiczna kolej rzeczy byłaby tu raczej taka: najpierw oduczyć ludożerstwa, a potem udzielić chrztu. W myśl zasady, że nie każdy klijent jest dobry. Jeśli zaś ów ołtarz, obciągnięty skórą ludzi zabitych i zjedzonych, pochodzi z czasów, kiedy jeszcze ci kanibale tkwili w wierze i praktykach swoich przodków, w takim razie „niezwykły dar", przesłany Papieżowi, świadczyłby znowu, że plemię to nie zna się jeszcze na dobrem wychowaniu, jest wysoce... nietaktowne, co trzebaby wziąć za złe misjonarzom, na owym terenie działającym.

Tak czy owak równie nietaktowną jest Katolicka Agencja Prasowa, która w tym wzruszającym upominku znalazła okazję do reklamy Watykanu, przywodzącej na myśl aforyzm Lloyd George'a.

ŻEBY NIE POLICJA...

Ze wszystkich widowisk tegorocznych w stolicy największem powodzeniem cieszył się „międzynarodowy maraton tańca" urządzony w cyrku. Ów konkurs „na wytrzymałość" ściągał do cyrku wielotysięczne tłumy w ciągu zgóry dwóch tygodni. Im okropniej wyglądały pary taneczne, im więcej tancerzy i tancerek spało podczas tańca, tem większe zadowolenie panowało na widowni. Sensacja rosła z godziny na godzinę. Tłumy stały przed cyrkiem, nie mogąc dostać się do wnętrza. A na arenie — widowisko koszmarne, wyzysk nędzy ludzkiej — potworny. Większość tańczących byli to bezrobotni, zachęceni utrzymaniem, jakie mieli „za darmo" na czas trwania konkursu oraz nadzieją na nagrodę.

Widowisko stawało się coraz ohydniejsze. Aż wreszcie kres tej ohydzie położyła policja.

A oto znowu widowisko, które po tamtem, zdobyło rekord powodzenia: konkurs amatorów gry scenicznej. Wynaleziono jakąś biedotę z „aspiracjami", wynajęto ją na kilkanaście wieczorów z tem, że „odznaczeni" będą mieli płatne engagement na objazd prowincji. I zaczęła się znowu — obrzydliwość, znęcanie się nad nędzą i naiwnością. Publiczność bawiła się doskonale, żałosna nieporadność „amatorów" wywoływała na widowni nadzwyczajną radość. Na scenę padały chamskie okrzyki i dowcipy. Nieszczęśliwi „amatorzy" i zrozpaczone „amatorki" — przedmioty rozhukanej zabawy — dokładali starań, żeby się jednak „wywiązać z zadania". Niektórzy tylko tracili rezon i rezygnowali z konkursu Deklamacje „poważne", epizody „dramatyczne" odbywały się wśród huraganów śmiechu.

Na scenie męka, rozpacz, targanie nerwów, a na widowni — humor, wesołość, zabawa.

Konkurs ten zlikwidowała policja. Nie można było tego dłużej tolerować.

Nasuwa się niewesoła refleksja: na jakie wpadanoby jeszcze pomysły, jakie urządzanoby widowiska dla ściągania pieniędzy, gdyby nie policja...

DZIECI, KTÓRE NIE WRÓCĄ...

Opinja amerykańska, przerażona zastraszającym, groźnym rozwojem *Kidnappingu,* czyli przemysłu porywania dzieci, coraz głośniej i natarczywiej domaga się od władz likwidacji zbrodniczego procederu. Dzienniki rozpoczęły druk „historji Kidnappingu", która rejestruje wszystkie porwania. Szczególnie wstrząsające są dzieje Giuseppe Varotta i Marion Parker, dopiero teraz ujawnione przez prasę.

Pięcioletni Włoch, Giuseppe Varotta, tajemniczo zniknął z domu rodziców w New-Yorku. Ojciec — ubogi emigrant — wygrał niedawno proces przeciw automobiliście. Otrzymał odszkodowanie za zniekształcenie twarzy starszego syna. Gangsterzy wywęszyli gotówkę. W kilka dni po zaginięciu dziecka, nadszedł list z żądaniem okupu 2.500 dolarów. Varotta nie posiadał już ani centa. Wszystkie pieniądze pochłonęły koszty leczenia i zabiegi chirurgiczne. Varotta napróżno starał się o pożyczkę. Wreszcie, nie widząc innej drogi, zwrócił się do policji. Był to krok nierozważny. Oznaczał wyrok śmierci na małego Giuseppe. Policja wręczyła sumę okupu pewnemu Włochowi, a gdy po odbiór pieniędzy zgłosiło się pięciu mężczyzn, zostali schwytani. Zastosowano do nich słynny, nieludzki „trzeci stopień śledztwa". Bandyci milczeli. Varotta naprzemian to czołgał się u ich nóg, to podniecał policję do najbardziej wymyślnych tortur. Czwartego dnia tortur, policja rzeczna wyłowiła z rzeki Hudson zwłoki pięcioletniego Giuseppe'a, zamordowanego „dla przykładu i zasady". Pięciu zaaresztowanych zbrodniarzy, skazanych na fotel elektryczny, uniknęło jednak w rewizji procesu wyroku śmierci dzięki zręcznemu obrońcy, który wykorzystał bezprawie metod śledczych.

Jeszcze bardziej wstrząsająca jest śmierć dwunastoletniej Marion Parker, córki bankiera z Los Angelos. Pewnego dnia nie wróciła ze szkoły.

Rodzice, nie podejrzewając porwania, zawiadomili policję. Minęły 24 godziny. Bankier otrzymał anonim, który wyznaczył spotkanie w odludnem miejscu. Parker stawił się, lecz nie spotkał nikogo. Otrzymał natomiast drugi list: „Przekłada pan pieniądze nad życie córki. Wślad za panem jechało auto detektywów". W rzeczywistości bankier nie zawiadomił policji o umówionem spotkaniu, lecz powiadomiona o zniknięciu dziecka policja z własnej inicjatywy otoczyła czujną opieką Parkera. Po dwóch dniach bankier otrzymał nakaz zjawienia się na oddalonem przedmieściu z sumą 3.000 dolarów. Parker zjawił się o oznaczonej porze. Z cienia ulicy wyłoniło się auto, prowadzone przez szofera w masce. Na tylnem siedzeniu spoczywało ciało dziecka. „Pieniądze!" — padł rozkaz. Parker wręczył 3 tysiące dolarów. Bandyta przeliczył, a potem nakazał: „Niech pan stanie na stopniu. Za chwilę oddam córkę pańską, która jeszcze uśpiona jest chloroformem". Parker usłuchał. Po kwadransie jazdy samochód nagle zatrzymał się, zamaskowany bandyta schwycił dziecko i silnym rzutem cisnął je na bruk. Parker schylił się nad córką. Odkrył wówczas przeraźliwą prawdę: głowa i kończyny dziecka były odcięte od tułowia i sztucznie przymocowane drutem.

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

TRUDNY ŻYWOT FILOZOFA

Niezwykłe czasy, zakłócające spokojny, normalny byt ludów i ludzi, kataklizmy dziejowe, zwłaszcza ostatniej doby, warunkujące niecodzienność losów i kolei życiowych, pobudziły różne osobistości do przekazywania na piśmie potomnym swych przejść i doświadczeń. Świadkowie rzadkich zdarzeń, wpatrując się w wielką wskazówkę epoki i wsłuchując się w bicie zegara na wieży dziejów — starają się swoje przejmujące wrażenia utrwalić w postaci wielotomowych pamiętników, listów, dzienników i t. d. Piszą więc je wielcy mężowie stanu, głowy koronowane, wodzowie armji, artyści, uczeni i t. p.

Z powodzi tej pamiętnikarskiej literatury wychyliła się ostatnio książka Wincentego Lutosławskiego p. t. „Jeden łatwy żywot".*) Jest to raczej wyczerpująca autobiografja, niż pamiętnik w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, a żywot w nim odtworzony nie był tak łatwy, jak go nagłówek określa.

Jeżeli bowiem zważyć trud myśli, dokonany przez W. Lutosławskiego, niezwykłe koleje studjów uniwersyteckich i politechnicznych, poznanie gruntowne wielu języków nowo- i starożytnych, przewertowanie i zbadanie tysięcy dzieł najróżniejszych z zakresu filozofji, matematyki, chemji, fizyki, psychologji, historji, logiki, pedagogiki, wszechświatowej literatury pięknej, teologji i t. d. i t. d., — to osiągamy wyobrażenie o całym ogromie wiedzy, którą nie tak łatwo dźwigać.

*) *Wincenty Lutosławski*. Jeden łatwy żywot. Warszawa, 1933. — F. Hoesick.

Jeżeli dodać do tego ciernistą drogę pracy pedagogicznej, dzieje walk wieloletnich o katedrę uniwersytecką, koleje profesury jego w Kazaniu, Krakowie, Wilnie, wykłady i odczyty w dwustu niemal miejscowościach w Polsce, Rosji, Niemczech, Francji, Anglji, Szwecji, Finlandji, Hiszpanji, Szwajcarji i w Stanach Ameryki, wieloletnie ślęczenie w bibljotekach świata, szukanie celów na drogach własnego życia i wogóle na drogach myślącego człowieka, — jeżeli ogarnąć nadto wzrokiem jego półwiekowe przeszło wykuwanie wartości naukowych, wykrywanie porządku duchowego i bytu — to skromny nagłówek o łatwości tego żywota przestaje budzić wątpliwości.

Ale sam autor, dziś, w późnej starości, przyznaje, że dopiero teraz rozpoczyna się właściwy okres jego życia, że celem, do którego obecnie dąży jest „zrozumienie życia ludzkiego i przystępne wyrażenie prawdy o niem", i aby mógł to uskutecznić potrzebna mu jest „stosowna pracownia, czyli kuźnica, w którejby miał pomoc dobranych współpracowników".

Ponieważ — mówi W. Lutosławski — „cały mój dotychczasowy siedemdziesięcioletni żywot był jakby przygotowaniem do tej ostatniej fazy, w której mam nabyte doświadczenie młodszym przekazać, ufam, że wśród czytelników znajdą się tacy, co bądź sami będą w stanie potrzebnych środków dostarczyć, bądź będą umieli trafić do tych, co je mają i przekonać ich o doniosłości celu, na który te ofiary są potrzebne". W. Lutosławski w swojej wędrówce przez swe pracowite życie szedł zapatrzony w wyższe cele i przeznaczenie człowieka, nie patrzał więc pod nogi i nie widział istotnego zła praktycznego, żył marzeniami i dla swych pragnień widział kształty realne w wydajnej pracy swojej i pomocy innych.

Upodobnia się w tem do zakapturzonych utopistów, i jeżeli chodzi o kuźnicę czy falanster, jako cel idealnych zamierzeń dla dobra człowieka, to W. Lutosławski miał wielu już poprzedników tego samego rodzaju, m. in. bardzo podobnego do siebie marzyciela, Fouriera, wierzącego również w szczodrość mającego się zgłosić Krezusa, który umożliwi mu przez ofiarowanie wielkiej kwoty urzeczywistnić plan uszczęśliwienia narodu.

Wyczekując daremnie przez długi szereg lat przyjścia finansisty, — przeoczył także regułę współczesnej jak i dawnej rzeczywistości, polegającej na tem, iż w bankach parwenjuszy nie szuka się romantyzmu.

W. Lutosławski w dziele swojem pokazał jeden trudny żywot czującego i myślącego marzyciela, który różni się jaskrawo od otoczenia, od środowiska trzeźwego, praktycznego, wyrachowanego, i który wskutek tego uchodzić może za dziwaka, za klijenta psychjatrów, w najlepszym razie, nawet wśród ludzi myślących oceniany będzie z pobłażliwym uśmiechem jako wybujały oryginał lub zdziecinniały starzec.

Tkwiąc niezmiennie w świecie myśli i ducha, mając niemal w pogardzie rzeczywistość zmysłową, stwarzał sam dla siebie warunki, w których jego działalność praktyczna nie mogła znaleźć oparcia. Dlatego tracił katedry uniwersyteckie, dlatego wyłączali go z korporacji, z towarzystw przez niego zakładanych, dlatego wyzuwali go z majątku, a nawet wydalali z rodzinnego gniazda. Niezniszczalność

wszystkich zamierzeń W. Lutosławskiego tkwiła już u progu jego poglądów na świat i życie, uwarunkowana została przez jego odrębne stany duchowe, religijne, poniekąd mistyczne, a nawet przez jego bezpośredni stosunek do ludzi.

Jego wynurzenia dowodzą wyraźnie, że w pełni nie należał do otaczającego świata, dlatego też nawet w części nie mógł być uznany i zrozumiany. Otóż W. Lutosławski powiada, że „brak zupełnej zazdrości i nienawiści ułatwiał mi życie" (str. 3), „nie miał uprzedzeń do żadnej rasy, ani klasy społecznej. Zjadliwe piętnowanie cudzych grzechów rzeczywistych lub urojonych zawsze budziło we mnie odrazę i wydawało mi się nałogiem nieznośnym. Szczególniej ogólnikowe potępienie całych ludów, jak np. Moskali, Niemców i Żydów, lub pewnych zrzeszeń, jak Jezuitów i Masonów, raziło mnie, jako fałszywe uogólnienie (str. 3), „moja miłość wyrażała się w czynnej chęci usługi i ofiary, a ta miłość, którą przeważnie w ludziach budziłem, była biernem wrażeniem zaciekawienia i łatwo przeobrażała się w pogardę, a nawet nienawiść, gdy ogromnych nadziei mimowoli obudzonych nie zdołałem ziścić (str. 4), „choć tyle osób i grup społecznych odwracało się odemnie, to ja sam z nikim stosunków nie zrywałem, a tych co ze mną zerwali, zawsze bez wahania serdecznie przyjmowałem, gdy do mnie powracali (str. 6), „inną cechą stałą, określającą mój żywot, to zainteresowanie się losami każdego człowieka, którego spotykałem i chęć pomożenia mu wedle możności w osiągnięciu jego celów (str. 17), „tułam się bezdomny przez 50 lat po świecie, zbieram doświadczenia i tęsknię do stałej siedziby, w którejbym mógł wyniki tych badań i doświadczeń uporządkować" (str. 51).

Wobec zagadnień bytu, wiary, filozofji, narodu zajmuje W. Lutosławski stanowisko samodzielne, odrębne, oryginalne. Jasność jego sądów idzie w parze z odwagą ich wypowiadania, i choć przeważnie dzielić ich z nim nie możemy, — uznać trzeba ich wewnętrzny, logiczny związek z ogólnym poglądem Lutosławskiego na świat, na życie i powołanie człowieka. Ta odwaga sądu była niejednokrotnie powodem jego cierpień moralnych. W młodości, jako słuchacz wyższej uczelni w Rydze zostaje wykluczony z polskiej korporacji studenckiej, nastrojonej tchórzliwie i ugodowo wobec caratu, za napisanie adresu uznania dla rewolucyjnej działalności T. T. Jeża, w wiele lat potem zaś traci katedrę na filozoficznym i serwilistycznym fakultecie w Wszechnicy Jagiellońskiej za głoszenie pod zaborem austrjackim idei niepodległości Polski. I jak w młodości pomimo wykluczenia z Arkonji studenckiej, adres dla T. T. Jeża wygotował, zebrawszy podpisy kolegów, tak w Krakowie, pozbawiony katedry, założył bezpośrednio tajne stowarzyszenie, w którem ideę tę głosił nadal, wykazując niezłomność i hart ducha.

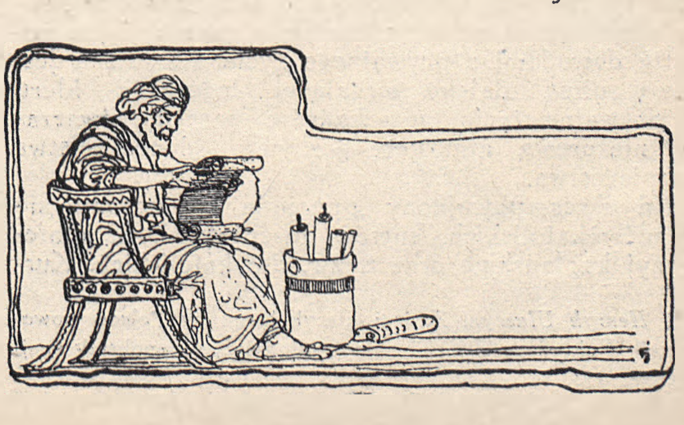
Udział jego w tajnej wówczas Lidze Narodowej był krótkotrwały, poznał bowiem dobrze — (mówi W. Lutosławski) — źródła późniejszej endecji. Inicjatorzy tego ruchu „zawsze zachowywali postawę spiskowców, którzy nie cofają się przed gwałtem, nie tylko wobec obcego i wrogiego rządu, lecz także wobec własnego społeczeństwa" (str. 242). Poglądy i uczucia religijne W. Lutosławskiego stanowiły źródło wielokrotnych nieporozumień ze sługami kościoła, zwłaszcza jego czucie preegzystencji wywoływały zastrzeżenia ze strony obrońców dogmatyki katolickiej, a interpretacja poprzedniego bytu człowieka na ziemi stawiała Lutosławskiego poza obrębem kościoła.

Uświadamiałem sobie — mówi Lutosławski, że „mój kościół nie jest kościołem dewotek i inkwizytorów i że moja wiara nie może być ślepą i bierną, tylko musi być widzącą i czynną". Pociągał go przedewszystkiem ten kościół niewidzialny, do którego „wszyscy ludzie dobrej woli należą, niezależnie od wyznania, ale zawsze zgodnie z własnem żywem przekonaniem" (str. 255). Istnienie kościoła odpowiada najzupełniej wymaganiom filozofji — twierdzi W. Lutosławski „i nie filozofowie fałszują wiarę, uzupełniając ją swemi rozumowaniami", tylko „inkwizytorzy niszczą wiarę, ustawicznie szukając cudzych błędów, zamiast się wspólnie z filozofami zastanawiać nad wiekuistemi prawdami". (str. 277).

Pogląd na świat W. Lutosławskiego oparty też jest na świadomości odwiecznej i niezniszczalnej jaźni własnej. Pewność swojej preegzystencji wynikała z odkrycia w sobie tej jaźni własnej. Posiada też czucie realności życia duchowego, i wszystko to daje do myślenia, że świadomość obecności ducha, że ten drugi, wewnętrzny wzrok wznosi W. Lutosławski w regjony mistycyzmu, wolnego od rabstwa rzeczywistości zmysłowej. Jego miłość ludzi, chęć służenia im, gotowość pomagania, o czem w książce swojej kilkakrotnie wspomina, jego pokora, zdolność przebaczenia, świadomość grzechu, jego przyznawanie wyższości jaźni nad ciałem, związanej z uczuciem nieśmiertelności, łatwość wyrzekania się dóbr doczesnych dla innych — pozwala przypuszczać, że główne źródło jego cierpień, niepowodzeń, zatargów życiowych wypływało z jego stanów duchowych. Źródło to zostawiało wokół jego postaci próżną przestrzeń, wyodrębniało go ze środowiska, różniło z otoczeniem, z ciałem profesorskiem, związanem z pozytywizmem, zadaniami materjalnemi i działalnością praktyczną.

Zamykając ten jego „Jeden łatwy żywot", uduchowiony czytelnik może odrzucić większość jego stanowisk myślowych, poglądów filozoficznych, społecznych i literackich, może też uznać, że niektóre jego idee i wskazania życiowe pochłonęły już nurty dziejowych procesów rozwojowych, ale nie powinien w żadnym razie w kryształach pięknej szczerości W. Lutosławskiego widzieć tylko „dziwactwo", ani tembardziej nie powinien lekką stopą przekraczać bez zadumy całej krynicy wzniosłych uczuć i wysokich stanów duchowych tego spracowanego pielgrzyma.

Henryk Lukrec



ZASIĘGI KLERYKALIZMU

Broszura znanego bojownika myśli wolnej, prof. uniwersytetu poznańskiego, Henryka Ułaszyna o zakusach klerykalizmu w Polsce*) dobrze i wyraźnie charakteryzuje pole walki pomiędzy klerem, a społecznym radykalizmem.

Prof. Ułaszyn stoi na gruncie szeroko pojętej tolerancji. Przeciwstawia się agresywności kleru, lecz, oczywiście, nie odmawia mu prawa wyznawania, nauczania i szerzenia swych poglądów, żądając jednak prawa swobodnego wyznawania i szerzenia poglądów wolnomyślicielskich. Zakusy klerykalizmu dzieli prof. Ułaszyn na trzy strefy, omawiając kolejno zasięgi klerykalizmu na terenie życia społecznego wogóle, następnie w dziedzinie szkolnictwa, a wreszcie — w zakresie życia państwowego oraz instytucyj publicznych.

Zaczyna od „Akcji katolickiej". „Akcja katolicka" jest tworem powojennym. Zadaniem jej — według statutu — jest „apostolstwo świeckie dla pogłębienia, wprowadzania w czyn i obrony zasad katolickich w życiu jednostki, rodziny i społeczeństwa, zgodnie z wskazaniami kościoła i stolicy świętej".

„Akcja" zorganizowana jest na podstawie bezwzględnego posłuszeństwa i rygoru hierarchicznego. Ks. redemptorysta Pirożyński określa „Akcję katolicką", jako doborową armję kościoła, która ma prowadzić energicznie zarówno defensywę, jak i ofensywę: defensywę przed duchem bezbożności i zepsuciem, a ofensywę przez szerzenie i pogłębianie religijności. „Akcja" powinna tedy zwalczać „błędne hasła innowierców i sekciarzy".

Jeśli się zwróci uwagę na bojową terminologję ks. Pirożyńskiego, na treść przysięgi, jaką składa każdy biskup podczas konsekracji („Heretyków, schizmatyków i zbuntowanych... — o ile to będzie w mej mocy, będę prześladował i tępił"), to staje się rzeczą zrozumiałą, że w „Akcji katolickiej" odradza się *ecclesia militans*, która wskrzesza niewygasłą jeszcze tęsknotę za praktykami „przepięknej i czcigodnej pamięci Tomasza Torquemady".

Jednym z nowych środków technicznych, zmierzających do bezwzględnego panowania nad wiernymi są kartoteki parafjalne. Prowadzi je proboszcz. W każdej chwili informuje ona odnośną władzę kościelną, gdzie są w parafji „dzikie małżeństwa" niechrzczone dzieci, wroga prasa, sekciarze, lewicowcy, chorzy, ubodzy i bogaci, nadający się na „pomocników świeckich". W nauczaniu, w kazaniach umożliwia kartoteka kapłanowi operowanie nie zarzutami i uwagami ogólnikowemi, lecz ścisłemi danemi ze swojej parafji. Częste odczytywanie przez duszpasterza kartoteki sprawi, że kazania, misje, rekolekcje nie będą mierzyły ślepo w tłum, ale w pewne określone stosunki jednostek, a zarzuty będą poparte dowodami z prywatnego życia. Kartoteka jest nową formą daleko sięgającej ingerencji kleru w prywatne życie mieszkańców parafji, stwarzając niezdrową atmosferę gorliwego donosicielstwa i szpiegostwa.

Na okres powojenny przypada wzmożenie się zjazdów katolickich, kursów duszpasterskich, konferencyj kapłańskich oraz t. zw. dni katolickich. Kursy i konferencje poświęcone są głównie sprawom sekciarstwa i innowierstwa. Poszczególne zjazdy omawiały np. akcję misyjną (unijną) wśród prawosławnych na wschodnich kresach, „zgubny wpływ judaizmu na duszę polską", „wolnomyślicielstwo i masonerję w Polsce" etc...

Zapędy kleru przejawiają się nawet w zakresie słownictwa. Zabrania się nazywania duchownych nie-rzymskokatolickich księżmi lub biskupami, uzurpując te tytuły wyłącznie dla siebie. Zapędy werbalne sięgają często granic śmieszności: protestowano np., że w szkołach „święto sadzenia drzewek" nazywano świętem, uważając użycie tej nazwy za... bluźnierstwo.

**
*

Jak przejawia się ingerencja kleru w zakresie szkolnictwa i wychowania młodzieży? Prof. Ułaszyn wymienia tu następujące pozycje: nadmierna liczba godzin wykładowych religji i sklerykalizowanie organizacyj harcerskich.

W dziedzinie życia państwowego przejawia się ofensywa rzymska w zwalczaniu innych kościołów, uznanych przez państwo, lub dzięki zabiegom kleru rzymskiego — nieuznanych. Monopolistyczne pretensje kleru katolickiego do wyłączności znajdują dobitny wyraz w prześladowaniu t. zw. kościoła narodowego. W walce nie pogardza się metodami odbiegającemi daleko od nakazów etyki. Urządza się napaści na księży narodowych, demoluje się kościoły i kaplice, odgrzebuje nieboszczyków.

Przykładem wzrostu wpływów kleru polskiego są losy projektu prawa małżeńskiego. Projekt ten został wycofany, chociaż proponowany był w formie, którą we Włoszech pochwalał sam papież Pius XI. Do Polski — jako do „kraju okupowanego", przykłada się inną miarę.

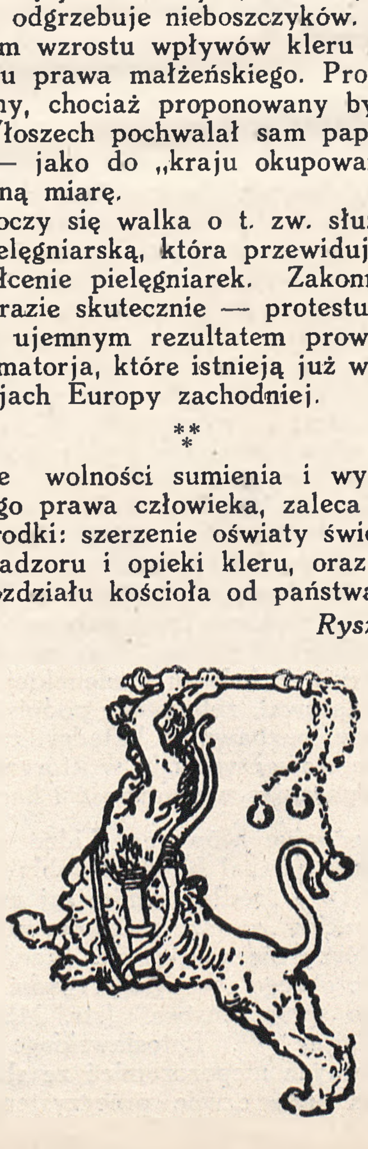
Obecnie toczy się walka o t. zw. służbę zdrowia, o ustawę pielęgniarską, która przewiduje odpowiednie wykształcenie pielęgniarek. Zakonnice oczywiście — i narazie skutecznie — protestują.

Z równie ujemnym rezultatem prowadzona jest walka o krematorja, które istnieją już we wszystkich nieomal krajach Europy zachodniej.

**
*

W obronie wolności sumienia i wyznania, jako podstawowego prawa człowieka, zaleca prof. Ułaszyn dwa środki: szerzenie oświaty świeckiej, uwolnionej od nadzoru i opieki kleru, oraz propagowanie hasła rozdziału kościoła od państwa.

Ryszard Oborski



*) *Henryk Ułaszyn*. Zasięgi klerykalizmu w Polsce powojennej. Nakładem Zw. Polskiej Młodzieży Demokratycznej. Poznań, 1933.

PRAWO OBYWATELSTWA

Książka Vicki Baum „Ludzie w Hotelu" zdobyła sobie dużą popularność jako powieść, odniosła sukces na scenie i na ekranie, jest napisana niewątpliwie z talentem, a jednak zalicza się do literatury drugorzędnej. Jakież przyczyny deklasują tę i tyle innych, doskonale skonstruowanych powieści rozmaitych autorów? Czy źródło owej degradacji nie kryje się w „ciężarze gatunkowym" ich bohaterów? W literaturze moralne „prawo obywatelstwa" coraz wyraźniej zaczyna przysługiwać jednostkom związanym ze społecznością ludzką w sposób o r g a n i c z n y, a nie m e c h a n i c z n y.

Finansista o małem sercu i dużych pieniądzach, złodziej hotelowy, nawet nie pozbawiony liryzmu, aktorka, shisteryzowana kapryśnemi oklaskami bogatej publiczności, maszynistka o ładnej buzi, pasorzytująca na łatwym, żyznym terenie drogiego hotelu — są to wszystko jednostki, które mogłyby wogóle nie egzystować, bez żadnego uszczerbku dla reszty społeczeństwa. W najmniejszym stopniu nie wpływają na całokształt życia konstruktywnie — tem samem nie są w stanie zaprzątać naszej uwagi w głębszy sposób.

W powieści p. t. „Zdarzenie w Lohwinckel" Vicki Baum *) ukazuje nam ponownie aktorkę, tym razem filmową — w towarzystwie Piotra Karbona, właściciela fabryki opon, oraz Franz'a Alberta, boksera średniej wagi, mistrza Niemiec.

Piotr Karbon, aczkolwiek ma lat przeszło 40, doskonale uosabia współczesne pokolenie młodzieży. Cechuje go niebywałe, a zarazem bynajmniej nie antypatyczne łakomstwo życia. Vicki Baum przezywa go bardzo trafnie „pochłaniaczem". Karbona rozpiera nieustająca potrzeba nowych wrażeń. Owa straszliwa pojemność robi wrażenie wewnętrznej pustki, którą człowiek instynktownie usiłuje zapełnić rzeczami branemi zzewnątrz.

Boksera Franz'a Alberta nie cechuje nawet głód wrażeń. Vicki Baum doskonale charakteryzuje go kilkoma porównaniami. Mówi naprzykład, że z wędrówek po świecie — wyniósł akurat tyle, co przesyłka pocztowa. Pozatem — Franz Albert jest dobroduszny i nieśmiały. Bije jedynie za pieniądze. Przez myślby mu nie przeszło tknąć kogoś, ktoby nie był uzbrojony w rękawice bokserskie. Mistrz Niemiec zdala od swego trenera Aleksa jest akurat tyle wart, ile siekiera bez uchwytu. Jego stosunek do Aleksa jest taki, jak małego dziecka do niańki.

Aktorka filmowa oraz jej przyjaciele stanowią w książce Vicki Baum kontrastowe tło, na którem znakomicie odcina się istotna treść powieści.

W małem, nadreńskiem miasteczku Lohwinckel jest fabryka akumulatorów. Po pewnym okresie pracy, nieomal wszyscy robotnicy tej fabryki są zatruci ołowiem. Miejscowy lekarz, Persenthien, ma więc bardzo liczną klijentelę, nawał roboty i prawie żadnych dochodów. Elżbieta Persenthein, żona lekarza, młoda kobieta o delikatnych rysach, spędza życie na ciężkiej harówce. Do jej niezliczonych obowiązków domowych zalicza się również pilnowanie chorego robotnika Lungausa, na którym mąż jej eksperymentuje własną metodę uodporniania przeciwko chorobom, a więc i — zatruwaniu się ołowiem. Kuracja polega na skomplikowanej i kosztowne djecie, a Lungaus chętnie wymyka się na wódkę z kiełbasą.

Niema nic silniejszego na świecie, niż wątłe barki kobiece. Elżbieta wszystko robi, wszystko znosi i nie pomyśli nawet, iż życie mogłoby się ułożyć inaczej. W małem miasteczku ludzie się rzadko buntują, może dlatego, że wszyscy znają się dość blisko i wiedzą, że nikomu nie jest znów za dobrze. Jedynym człowiekiem, z którym Elżbieta może czasami zamienić parę słów w jakiś miły, ludzki sposób, jest Henryk Markus, Żyd o mądrem, krótkowzrocznem spojrzeniu, właściciel sklepu kolonjalnego, niedoszły doktór praw.

Aż oto nagle, w życie Elżbiety, płynące przy dźwiękach syczących garnków, wymysłów Lungausa i terkotu motocykla, którym wiecznie zamyślony mąż pędzi do chorych — wpada bogaty, olśniewający Piotr Karbon.

Na szosie w Lohwinckel znaleziono rozbity samochód. Wydobyto z pod niego czworo ludzi: aktorkę filmową, właściciela fabryki opon, boksera średniej wagi i szofera, Fobianke. Ten ostatni szybko skonał. Reszta pasażerów była lekko ranna. Opis śmierci szofera, człowieka bez imienia, którego zawsze wołano po nazwisku, jest w swojej wstrząsającej prostocie wręcz doskonały.

Troje przybyszów z „dalekiego świata", znalezionych pod rozbitem autem, zelektryzowało atmosferę małego miasteczka. Po kilku dniach temperatura dochodzi do stanu wrzenia. Wszyscy zaczynają się buntować. Robotnicy żądają zwyżki płac i strajkują, uczniowie szkoły średniej wypowiadają posłuszeństwo i — ostentacyjnie paląc papierosy — udają się gremjalnie do kina na obraz zabroniony dla młodzieży, w którym gra pokaleczona aktorka, wydobyta z pod auta. Kulminacyjnym punktem staje się pożar fabryki, podpalonej przez Lungausa. Lungaus chętnie przystał na bezpłatną kurację i mieszkanie u doktora Persentheina, ale powrót do pracy wydał mu się zbyteczny, mimo umowy, zawartej z lekarzem, którą zobowiązał się udowodnić na sobie rezultaty uodporniającej kuracji.

W domu doktora gości nowy pacjent — Piotr Karbon. Ze wzrastającem zdumieniem obserwuje Elżbietę i czuje, jak podpada pod urok tej dziwnej kobiety tak bardzo wytwornej, a spełniającej czynności posługaczki. Magja uczucia działa. Elżbietę również ogarnia jej przedziwna moc. I oto nagle, wszystkie, dotąd bez szemrania spełniane obowiązki — zaczynają jej nieznośnie ciążyć. Nawet kobiece barki nie są w stanie udźwignąć naraz i praw i obowiązków.

Gdy pewnego dnia doktór wraca do domu, znajduje kartkę objaśniającą go, że żona poszła do kina. Ten fakt, niebywały w zwyczajach Elżbiety, Lungaus odpowiednio komentuje. Nieszczęścia walą się na człowieka zazwyczaj seryjnie. Czekając na żonę— doktór usiłuje skupić uwagę na lekturze naukowego pisma, z którego dowiaduje się, że pewien lekarz w pewnym szpitalu dokonał takich samych prób uodporniania ludzkich organizmów, jakie on z tak strasznym trudem dokonał na Lungausie. Ale tamten eksperymentował na 167-iu pacjentach. Przyczem, do tej cyfry dodane jest słowo: „tylko".

W nocy doktór rozmawia z żoną. Mówią ze sobą szczerze, po ludzku. Jakże daleko odbiegliśmy od tych obmierzłych czasów, w których opisywano ze

---

*) *Vicki Baum:* Zdarzenie w Lohwinckel. Z upoważnienia autorki przełożyła Marja Zawadzka. Warszawa 1933. Tow. Wyd. „Rój".

smakowitym uśmieszkiem, jak mąż znajduje kochanka swojej żony w szafie, lub pod łóżkiem.

W ciągu rozmowy z mężem staje się dla Elżbiety rzeczą coraz bardziej jasną, że jej uczucie dla Karbona było tylko chwilowem zamroczeniem. Prawda jej życia,najistotniejsza i najgłębsza ,to właśnie ów mąż tak bez reszty oddany swoim chorym, że niema czasu dla niej, bo go niema dla siebie. Z nim stanowi nierozerwalną całość. Jemu jednemu jest niezbędna.

Doktór Persenthein i jego żona, to para ludzka bardzo mocno i bardzo organicznie związana z resztą społeczeństwa. To nawet jedno, pozornie małe, ale jakże niezbędne kółko w motorze prawdziwego postępu. I właśnie oni, tych dwoje prostych, skromnych, zapracowanych ludzi — doktór z małego miasteczka, fanatyk idei i jego żona w zgrzebnym fartuchu — wprowadzili książkę Vicki Baum do rzędu najlepszych, współczesnych powieści.

Marja Milkiewiczowa

HISTORJA „OFICJALNA"

Przed kilku laty Mustafa Kemal Pasza wszczął słynną akcję w dziedzinie nauczania historji. Założeniem podstawowem nowego nauczania była koncepcja imperjum tureckiego, istniejącego 6 tysięcy lat przed naszą erą w środkowej Azji. Wszelkie inne państwa były tylko kolonjami tureckiemi. Egipcjanie, Gallowie, Latynowie, nawet Grecy zawdzięczają swój byt cywilizacji tureckiej. Kemal Pasza „udowodnił" nawet, że język grecki jest... narzeczem tureckiem.

Podobną akcję zainicjowała obecnie trzecia Rzesza. We „wskazówkach dla nauczania historji", opublikowanych przez ministra spraw wewnętrznych Rzeszy, czytamy:

„Podręczniki powinny rozpoczynać się od prehistorji Europy środkowej (z epoki lodowcowej) i wskazywać, jak określone rasy (Neandertal, Aurignac, Cromagnon) stworzyły jasno określone cywilizacje. Epoka ta dowodzi tedy, że *Cywilizacja jest tworem Rasy*. Z początkiem protohistorji (epoka polodowcowa) dzieje Europy są kształtowane przez rasę nordycką. *Historja Europy jest dziełem ludów rasy nordyckiej*, o których wysokiej kulturze świadczą nietylko wykopaliska z epoki kamienia i bronzu, lecz ponadto żywy dokument: język nordycki, czyli indogermański, który jest podłożem wszystkich języków europejskich.

„Od piątego tysiąclecia przed Chrystusem ludy nordyckie rozpoczynają podbój Azji Mniejszej i Afryki północnej. Pierwszymi, którzy wywarli wpływ na dzieje Azji byli Hindusi, Medowie i Persowie, ludy przybyłe z północy, rasy nordyckiej. Uczniowie powinni śledzić losy tych ludów, jako swoich przodków, którzy po stworzeniu wielkich cywilizacyj w Persji i Indjach zdegenerowali się wskutek domieszki obcej krwi.

„Należy dobitnie zaakcentować pokrewieństwo rasowe, jakie nas łączy z Grekami: tem tłomaczy się nasze zrozumienie sztuki greckiej. Jako zwycięzcy, Grecy stanowili klasę władców w kraju podbitym; walka klas społecznych polega w rzeczywistości na przeciwieństwach ras. Należy też podkreślić, iż w historji Włoch, walki patrycjuszów z plebsem były walką ras.

„Znaczenie najazdu plemion germańskich w pierwszych wiekach naszej ery polega na tem, że wniosły one do pêle-mêle ras w cesarstwie rzymskiem dawkę świeżej krwi nordyckiej. Cywilizacja średniowieczna rozkwitała jedynie tam, gdzie pojawili się Germanie. W Hiszpanji, w północnych Włoszech, we Francji, w Anglji — lecz nie na Bałkanach ani w południowej Italji.

„Waregowie zbyt mało dali Rosji krwi germańskiej, by umożliwić narodziny cywilizacji na olbrzymich terenach".

„Wskazówki" zakończone są wnioskiem, że dziś Europę ocalić może jedynie dopływ świeżej, „nordyckiej krwi", co przełożone na powszednią mowę oznacza wyraźny nawrót do wojennej mentalności Niemiec z roku 1914.

DZIAŁ ZESPOŁU LITERACKIEGO „PRZEDMIEŚCIE"

SZKLANY JEZUS

Jagodami umazany dzieciak, podciągając starannie krótkie do kolan majtki na szelkach umieszczone, usiłuje zgruntować kałużę stopą w sandale. Eksploracyjna zabawa, ciekawość zdobywcy, nieodparte zapędy własnych dobadywań.

— Ja ci dam, ty cholero, zamaczać...

Interwencyjne słowa poleciały w powietrze wzdłuż granicznego muru cmentarza. Za słowami przepycha się wzniesiona pięść, tułów wychylił się ukośnie, nogi przepędzają opór przestrzeni.

Na nic próby przemocy. Dzieciak poleciał najszybciej, pięty ukazując niebu. Niema co gonić.

Zresztą zjawia się sprawa ważniejsza. Gość.

— Wianeczek pani pozwoli...

Spokój. Uśmiech układny, zawodowy. Nagle przywrócona godność pracy. Znawstwo gustów rozwija serję próbnych ataków. Gość waha się, wybiera, podważa wysokość ceny, umniejsza wartość daru dla nieboszczyka. Czyż kwiaty dla umarłych mogą kosztować tyle, ile się płaci za kwiaty dla żywych?

Jest zresztą tych kwiatów tyle, że sama ich wielość deprecjonuje wartość. Koło pierwszej i naprzeciwko czwartej bramy powązkowskiego cmentarza kolorowo kwitną chodniki. Kwiaty w doniczkach i wianki, wykolone starannie na wierzbowych prątkach, rafją przypasowane i puszczone w gładki obieg kręgu.

Nie wszystkie kwiaty pasują umarłym. Kwiaty dla umarłych muszą długo trwać, przez wiele dni świeżo przywierać do grobowej wypukłości, łudzić wiecznością. Cisza stoi w kwitnących chodnikach, jak na cmentarzu. Chyba, że wiatr przebiera drobnemi łodygami w kwietnych kramach na sprzedaż, ten sam wiatr, który po tamtej stronie muru darzy muzyką poszumu drzew wszystkich umarłych i trawy przygina na grobach.

Gałęzie niewiędnącego świerku, jałowca, sosny, przetykane żółtym nieśmiertelnikiem, czerwienią jarzębiny, wycinanym liściem dębu — oto wybór wiankowy dla umarłych. Zielony roik, mięsisty i treściwy, w parze ze słonecznością kacanek najlepiej wypada w „laurce", ujętej nieodmiennie w kształt ser-

ca. Wykłoszone łodygi zbóż oddają złocistą jesienność barwy urodzie cmentarzy.

Kwitnące chodniki, segregowane pasami według barwy i wymiaru doniczkowych kwiatów. Równe szeregi, w szeregach równe rzędy symetrycznie rozłożonych barw. Pod szeregami zielono roztrzepanych kochji — szeregi różowych hortensji. Niżej — białe lwie paszcze, granatowe libelje, siwe mrozy — włoskowate, aksamitne i mięsiste, białobrzeżna pelargonja, kolorowe begonje, suche nieśmiertelniki, biała marona... Równe szeregi... W szeregach równe rzędy... W rzędach równe płaszczyzny. W równych płaszczyznach skondensowane, symetrycznie wymierzone plamy barw. Chodniki przed murem cmentarnym kwitną jak wykusze grobów. Puka niecierpliwe pytanie: tylko kwietny kram, czy może już wielkie płyty grobowe, lekkością kwiatów mylące niepodźwigniony swój ciężar?

Kwiaty — dary dla umarłych. Kwiaty — dostarczycielki życia dla żywych. Kwiaty — granice światów. Te same po obu stronach muru. Wyłożone, wystawione płytami kramów w oczekiwaniu na płyty grobów. Kram — odcinek chodnika, dwa metry wszerz, cztery metry wzdłuż. Kram — to trzysta złotych rocznie magistrackiego podatku. Kram — warsztat pracy, wystawa kwiatów, źródło życia, sprzymierzeniec umarłych.

— Wianeczki pani pozwoli...

Słowa nie stały się ciałem. Gość przeszedł obojętnie. Krótki zryw energji przy kramach gwałtownie opada.

Do muru cmentarza przymierzając małe rozczapierzone palce dłoni, usiłuje stanąć równiutko na dwóch nóżkach mały ludzki bąk. Stanął. Nieznane słowa zabulgotały w gardle i wilgotny od śliny śmiech przemienił buzię w samą radość. Mała głowa, płowa mięciutko, zachwiała się od zachwytu.

— Mój ty słodki... Prosto od kwiatów w kramie wyrzuciły się dorosłe ręce matki, wychwyciły drobne ciałko z pod muru, wypchnęły wysoko w górę. Wieczny, powszechny, demokratyczny gest, znak równania wielkiej radości. W górę...

— Wianki pan uważa?... Tak, uważa. Z kramu do kramu sygnałem ożywienia przebiega możliwość tranzakcji. Coraz inna doniczka kryguje się w dłoni wdziękiem barwy i urody. Coraz inny wianek przebiega po przegubie dłoni. Coraz inną cenę wyrzucają usta, zawsze skłonne do ustępstw. Zaczyna się gra, wyważanie gustu, atakowanie emocji i wyobraźni. Dla kogo ten wianek? Kim był umarły? Jak bardzo pozostał drogi i jeszcze blizki?... A kiedy już wszystko stanie się wiadome — propozycje nabierają treści i wagi. W temat rozmowy wchodzi obok kwiatu — nieboszczyk. Ton dyskusji markuje zażyłość. Słowa stają się cichsze i współczujące. Aż kwiat nabiera wagi ponad wątpliwości ceny — kwiatu pragnie umarły.

Udało się. Gość odmierzył cenę i kupił kwiat-wianek, czy kwiat-doniczkę. Czternastoletnia przekupka lekceważąco patrzy na mały pieniądz, leżący w dołku dłoni. Od sąsiednich kramów strzelają spojrzenia niby obojętne: że nic, że tak już jest — no, kupił u tamtej, nie kupił u nich. Ale już w ustach zbiera się i marszczy skrzywienie zawiści — przecież mógł u nich.

Złość wzbiera mdło w gardle. Dziewczynka ogląda wciąż pieniądz i milczy. Już wywołana klisza pamięci ciężkiego dnia od wczesnego ranka. Wczoraj z piasków podmodlińskich taszczyła zielony roik i żółte kacanki. Dziś o czwartej rano cała wyprawa na Budy po gałęzie iglaste i polne kwiaty. Grosze mozolnie zarobione poszły do ogrodnika na doniczki. A gdzie robota wianków? Gdzie wynoszenie doniczek z komórki, zastawianie kwiatami placu, żeby wyglądał — wołając i zachęcając? A jeszcze— tyle godzin nad kramem, pod skwarem słońca, w kurzu ulicy? Prawdziwy kram z troskami.

— Wianki z nieumierających kwiatów...

Gość przystanął. I już uszy rwie wyścig głosów, już się formuje w powietrzu wieloma ustami kształtowane słowo — „u mnie". Już tłok się robi nad kwadratami placów od wyciągniętych rąk, zakończonych wiankiem, doniczką, roikowem sercem.

— Co wyście powarjowali? — Od wszystkich mam wianki kupować, czy co?

Tylko tyle. I — jakby się odmienił kolor świata. Jakby z pałającego nieba wystrzeliła rakieta radości. Rąbnął w powietrze śmiech głośny, wesoły, przeciągły. Odprostowały się plecy, ramiona zagarnęły więcej powietrza, głowy odciągnęły w górę.

— To można pękać z tych gości — zauważa ktoś od kramów w nagłej refleksji. — Ech, z tego wszystkiego człowiek się cieszy, i smuci, i płacze czasem.

Śmiech — krótka przerwa w normie spokoju i ciszy, w którą się tylko wszeptuje swoje codzienne, ważne sprawy dnia długiego, nazbyt długiego dla tej pracy — czekania. Skracać, skracać ten dzień, w który niema co włożyć. Chyba — ręczną robotę, utarczki z dziećmi, tłumione szeptem zwierzenia, wyścig za gościem i trochę widowiska ulicy. Znane, nazbyt znane tematy dnia. Więc dłuży się dzień nijako. Praca i niepraca. Wystarczy czasu na wszystko i niema go na swobodę. Ani się pośpieszyć, ani odejść.

Na małych stołkach, wysuniętych poza kramy, siedzą przekupnie kwiatów dla umarłych wiele godzin codzień, o tej samej porze. Różni. Młode kobiety, schylone nad hafciarską robotą, w dostatniej elegancji. Jedwab w pończochach, letnia żółtość w pantoflach, jasność kolorowa w sukienkach. Ondulowane włosy zebrane w siatkę przed wiatrem. Obok siedzi — on. Mąż — nie mąż — mężczyzna. Prawdziwy dorosły mężczyzna, choćby i bezrobotny. Gazeta w rękach. Papieros w zębach. Szeroko, pewnie rozstawione nogi. Czapka na bok zsunięta. Rzuci słowem, uśmiechem, chrząknie — jest. Nie jest potrzebny kwiatom — nie sprzedaje. Bryluje obecnością dla niej, dla sąsiadek zazdrosnych, samotnie osadzonych na kramie. O, mężczyzna!

Siedzą — wystebnowane zmarszczkami staruszki, grube od zaniku wszelkiej formy, zgubionej w zwiotczałości mięśni, rozlazłej w tłuszczu rozpychającym naskórek, od niepotrzebnej mnogości wełnianych i bawełnianych spódnic, od rozepchanych kaftanów, niemodnie fałdowanych. Siedzą — kilkunastoletnie dziewczęta — praktykantki, zastępczynie, taniutkie siły robocze. Sukienki za krótkie, bose nogi na pepegach, włosy sztywno na wietrze wystrugane, trochę chłopaków złośliwie strzępiących językiem i złotówka zarobku dziennie. I jeszcze — niewiadome kobiety w nieokreślonym wieku. Wybez-

czelnione alkoholem twarze, czarniawe usta, oczy głodne towarzysza, język siepiący słowa obmierzłe. Nic, tylko czekanie długie nad płytą kwiatów, kiedy życie ucieka i rwaćby je trzeba pośpiesznie, żarłocznie, smakowicie.

Zastukało o wyrwisty bruk charakterystycznie: powoli, poważnie, głuchawo. Pod wysokim baldachimem, w czerni srebrem nabijanej, w najgłębszym kirze żałoby, odmierza umarły ostatnie dystanse przestrzeni. Poleciały od kwietnych kramów spojrzenia taksujące, wszystek głód dłużącego dnia, nienasycona ciekawość widowiska. O, heca! Przylgnąć do niej na chwilę dotykalnie, czująco, zmysłowo. Dopaść i wyrwać treść gorącą, bijącą pulsem rozpaczy, jeszcze żywą w katastrofie.

Wdowa nie szlocha? Może nie kochała? Ten z lewej strony, przystojny blondyn, tak uważnie wpasowany w prawe ramię wdowy... Biedne sieroty... Wieńce zalegają całe platformy. Może to będzie dobry umarły, potrzebujący dużo kwiatów?

Konie w czarnych płaszczach do ziemi, z dziurami na oczy, minęły wystawne chodniki kwiatów. Nudny spokój nasyca władzę kramów.

I znów — dzień się dłuży nijako. I znów — wyczekiwanie. Nic, tylko czekać i grać na gościach, jak na loterji. Obijać cudze uszy głosem ku wieczorowi chrypiącym. Wydzierać gościa sąsiadkom. Odgryzać się chłopakom, pysznić się bez słów swoim mężczyzną, oczy za nim łamać i nakłuwać złotym kłosem haftu zmiętoszoną serwetkę. Praca i niepraca. Dzień niby sam płynie, a przecież naprawdę — z trudem przebija się ku wieczorowi. Już się ku zachodowi po południu łamie, i stoi na miejscu, i patrzy słońcem, i gdzie mu tam do końca. Już w wieczór wchodzi i jeszcze jest dniem.

Aż zetnie się jasność w cień, w mrok granatowy, w nieprzejrzystość nocy. Dmuchnie powiew wieczoru i odejmie umarłym pożądanie kwiatów. Wraz z jasnym dniem odejdzie władza cmentarza, ustanie łaska i tyranja grobów. Nowe, elektryczne źródło światła rozpala świt wolności.

Wieczór — czas Szklanego Jezusa.

Szklany Jezus?

Naturalnie, cuda... Wielka odmiana, zupełna inność świata i siebie. Cuda butelki, z której lekki bulgot wypełnia kieliszki od dna. Zaledwie parę kieliszków i wszystko się widzi podwójnie. I widzi się to, czego niema. Cuda... Jak od cudu świat się odmieni, serce nacieka gorącem, ludzie stają się bliżsi, wszystko jest piękniejsze. Krew tłoczy się szybciej, mocniej uderza w pulsach, skronie zalewa ciepłą falą. Prawdziwe cuda Szklanego Jezusa.

Więc — kiedy się już zbiorą wszystkie godziny dnia i zszarzeją w mrok wieczoru — podcmentarni przekupnie kwiatów wchodzą we własną ochotę życia. Rozprasza się zmora umarłych. Dzień się zapada ze swoją troską umierających kwiatów, musem pracy — niepracy, pogonią za gościem. Kiedy wreszcie odprysną jasne godziny, można wejść w wieczór chłodny, własny i cudowny. Można tracić oddech na huśtawce, zatykać się wzruszonym tchem w kinie, tracić głowę na karuzeli i wracać do przytomności słodkim smakiem lodów. Biały, przezroczysty płyn z kieliszków rwie smutek, nudę i hecę dnia. Wyłania się w człowieku i staje się naprawdę — inny świat, nareszcie odmienny, w którym wszystko wydaje się możliwe, osiągalne, bliskie. Serce daje bieg swobodny marzeniu, budzi nowe źródła sił miłości, pali się odnowioną młodością i bije nierówno, przyjemnie.

Szklany Jezus — upragniony cud odmiany. Przychodzi wieczorem, który spycha słońce w mrok. Mieni się cudownie i błyszczy sto elektrycznych słońc. Światło przesuwa cieniami. Cienie zachodzą na światło. Kwiaty umarły, a umarłych niema. Żywi pragną cudów, odmieniających życie.

Kazimiera Muszałówna

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Wybuch rewolucji w republice kubańskiej zwrócił uwagę opinji wszechświatowej na swoiste stosunki, tam panujące.

Kuba wywalczyła sobie niepodległość w roku 1901-ym. Niepodległość ta była jednak mocno problematyczna. Stany Zjednoczone zastrzegły sobie prawo ingerencji w sprawy wewnętrzne Kuby, ilekroć jej niezawisłość będzie zagrożona. Pod tym pretekstem wojska Stanów obsadziły Kubę w latach 1906 — 1909. Dyktator Kuby Machado, którego krwawe rządy i masowe mordy przeciwników politycznych doprowadziły do wybuchu powstania, był kreaturą Stanów Zjednoczonych, które pomogły mu zagarnąć władzę, domagając się wzamian odpowiednich rekompensat. Wybór Machady na prezydenta w roku 1925-ym przeprowadzony był w prawdziwie amerykańskim stylu, Walka toczyła się nietyle na kartki, ile na noże. Lata prosperity umocniły władzę Machady. Umiał wyzyskać pomyślne lata, uzdrowił finanse i nikt nie zżymał się na przekroczenia przezeń jego kompetencyj i okrojenie konstytucji kubańskiej. W r. 1929-ym Machado ponownie został wybrany na prezydenta bez kontrkandydata i odtąd rządy jego stały się pasmem niepowodzeń. Bezpośrednim powodem był oczywiście kryzys. Kuba jest „one-crop country", t. j. krajem, żyjącym z jednego produktu — z cukru. Krach cen cukru oznaczał koniec prosperity na Kubie. Bezrobocie wzrastać poczęło w szybkiem tempie. Śruba podatkowa była coraz dotkliwsza. Wówczas Kubańczycy przypomnieli sobie o wszystkich przekroczeniach konstytucyjnych prezydenta, wyliczono dokładnie, jaki majątek zdobył Machado podczas swej kadencji, wejrzano w rachunki robót publicznych. Ujawniły się wymowne cyfry i fakty. Stanowisko Machady zostało poważnie zagrożone. Do klęski jego przyczyniły się też nastroje, skierowane przeciw ingerencji Stanów Zjednoczonych. Młodzież uniwersytecka i opozycja narodowa rzuciły hasło „Kuba dla Kubańczyków". Machado stał się znienawidzonym symbolem gospodarczej i politycznej zależności od Stanów.

Jeżeli pomimo wielokrotnych prób powstańczych Machado zdołał jednak utrzymać się, zawdzięczał to nietylko wojsku, które go wkońcu opuściło, ale przedewszystkiem wydatnemu poparciu kapitalistów amerykańskich. Kuba i jej przemysł cukrowniczy są właściwie ekspozyturami kilku banków nowojorskich, a przedewszystkiem National City Banku. Póki Hoover rządził, Machado miał zapewnioną władzę. Natomiast Roosevelt, który próbuje osłabić wpływy bankierów, starał się w drodze pokojowej zlikwidować rządy Machado. Chciał zapobiec rozlewowi krwi i ewentualnemu przejściu władzy w ręce skrajnych żywiołów. Wolał, aby Kubą rządziła miejscowa partja liberalna. Wysiłki wysłannika Roosevelta, dyplomaty Wellesa, który starał się skłonić Machadę do dobrowolnego ustąpienia, spełzły na ni-

czem. Opór dyktatora okupiony został rozlewem krwi; zapoczątkował zaś rewolucję strajk generalny, proklamowany przez robotników hawańskich.

Machado uzyskał od steroryzowanego kongresu szerokie pełnomocnictwa, na podstawie których zawiesił wszystkie swobody, zagwarantowane przez konstytucję. Następnie zarządził koncentrację wojsk w stolicy, a jednocześnie rozpuścił pogłoskę o swem ustąpieniu. Na tę wiadomość ludność w radosnym nastroju wyległa na ulice miasta. Samorzutnie utworzył się wielki pochód demonstracyjny, który ruszył przed pałac prezydenta. Gdy czoło pochodu zbliżyło się do pałacu, wojsko zaczęło ostrzeliwać tłum z ukrytych na dachu karabinów maszynowych! Padło wówczas kilkadziesiąt trupów, a paręset osób raniono. Tłum rzucił się do ucieczki. Lecz w bocznych ulicach i parkach miejskich czyhała już policja, która dokonała ohydnego dzieła mordu.

Czynnikem rozstrzygającym stała się w rozwoju wypadków armja. Przygotoła ona powstanie na całej wyspie przy udziale marynarki i lotnictwa. Wystosowała do prezydenta Machado ultimatum, domagające się jego ustąpienia. Armaty bataljonu w Cabana skierowane zostały na pałac prezydenta. Machado ustąpił dopiero wobec rewolty wojsk. Rząd Kubański podał się do dymisji, a niefortunny dyktator opuścił Kubę, zdetronizowany przez jedyną swoją podporę, jaką była armja i opuszczony nawet przez własne stronnictwo liberalne.

Od dalszego biegu wypadków zależy życiowa dla Kuby kwestja wywozu cukru do Stanów Zjednoczonych, które na waszyngtońskiej konferencji cukrowej uzależniły przyznanie kontyngentu od „rozstrzygnięcia spraw politycznych i zagwarantowania dotychczasowych uprawnień Stanów Zjednoczonych w republice Kubańskiej".

**
*

Interesujący charakter mają obecne niepokoje w Irlandji. Ludność nie burzy się tu przeciw obcej władzy, jak to się dzieje np. w Indjach, nie walczy o jakieś reformy ustroju, nie ujawnia też podrażnionych uczuć patrjotycznych. Przeciwnie. Władzę w Irlandji sprawuje człowiek żarliwego patrjotyzmu, zwolennik najbardziej radykalnej polityki antyangielskiej, fanatyk idei całkowitego oderwania Szmaragdowej Wyspy od Wielkiej Brytanji, a przeciw niemu występuje *umiarkowana* opozycja, skupiająca się wokół b. prezydenta Cosgrave'a. Jest ona przeciwna radykalnej polityce de Valery. Pragnie kompromisu z Anglją.

Poraz pierwszy od zwycięstwa Valery podczas dwukrotnych wyborów do parlamentu, odważyła się opozycja na czynne wystąpienie. Dotychczas, a więc w ciągu dwóch lat, kraj cierpliwie, a nawet chwilami entuzjastycznie przyjmował energiczne zarządzenia de Valery. Wstrzymano wypłatę dziesięcin rocznych od skonfiskowanych dóbr angielskich w Irlandji, wymuszono dymisję dotychczasowego wicekróla i obrano poraz pierwszy w historji na jego miejsce nie Anglika, ale rodowitego Irlandczyka. Zniesiono tradycyjną przysięgę na wierność królowi brytyjskiemu, składaną dotychczas przez każdego nowoobranego członka parlamentu.

Tymczasem lew brytyjski wysunął ostre pazury i na śmiałe wyczyny prezydenta de Valery odpowiedział ogłoszeniem wojny celnej i zamknięciem rynków angielskich przed produktami irlandzkiemi. Irlandja, wtrącona jak każde państwo w wir wszechświatowego przesilenia, stanęła w obliczu katastrofy gospodarczej. Nieśmiała dotychczas opozycja zaczęła w niezbyt parlamentarny sposób przywoływać de Valerę do opamiętania i wstrzemięźliwości. Ponieważ zaś zwolennicy de Valery — to przeważnie sfery lewicowe, tedy po stronie, przeciwnej jego antyangielskiej polityce powstały tak modne dzisiaj „koszule", dla odmiany niebieskie. Te właśnie faszystowsko-irlandzkie „koszule niebieskie" pod przewodnictwem gen. O'Duffy w szeregu ostrych demonstracyj ulicznych i parlamentarnych domagają się zmiany taktyki prezydenta de Valery.

**
*

Francja doświadczyła w ramach własnego państwa przykrych skutków niemieckiej ekspansji. Alzacja stale grozi niespodzianym „wybuchem etnicznym", jak prasa niemiecka komentowała rozruchy strassburskie. Faktem jest, że po 15 latach rządów francuskich, Strassburg mało zmienił swe niemieckie oblicze. O bolączce alzackiej pisze się w prasie francuskiej niechętnie. Sprawa jest bowiem zawikłana i drażliwa. „Jest objawem bardzo znamiennym, że propaganda niemiecka w Alzacji stawała się energiczniejsza i śmielsza w chwilach niemiecko-francuskiego zbliżenia" — pisze paryskie *Oeuvre*. W chwili, gdy w imieniu paktu czterech Francja próbowała wziąć w opiekę Austrję, wybuchła na jej własnem terytorjum przykra awantura.

Zaburzenia strajkowe przeistoczyły się niespodzianie w krwawe zamieszki. Musiano uciec się do pomocy wojska. Wskutek strajku taborów miejskich, miasto pokryło się śmieciami. Część ludności poczęła zwozić śmiecie do ratusza i zesypywać je na głównym dziedzińcu, pod oknami burmistrza komunisty Hubera. On bowiem, jedyny burmistrz — komunista we Francji i jego partja, uchodziły za doraźnych sprawców zaburzeń. Bieg wypadków dowiódł jednak, że sam Huber był zaskoczony wybuchem strajku. Któż więc rzucił hasło zbrojnej napaści i podsunął broń?

Pierwsze podejrzenia padły oczywiście na trzecią międzynarodówkę. Logika wskazywała na jej wpływ na skrajne żywioły komunistycznej organizacji alzackiej. Okazało się jednak po wstępnem śledztwie, że tym razem Moskwa nie ponosi odpowiedzialności. Doszukano się natomiast wyraźnego porozumienia żywiołów wywrotowych z... hitleryzmem. Rewelacje te poparte zostały licznemi aresztowaniami.

Wydarzenia strassburskie uświadomiły Francji jeszcze jedno niebezpieczeństwo, jakie grozi ze strony odnowionego pangermanizmu.

**
*

Pakt czterech ujawnił swój śmieszny platonizm i kompromitującą impotencję. Procedura paktu poraz pierwszy zastosowana do zatargu Hitlera z Dollfussem okazała się dosłownie — austrjackiem gadaniem. Głośno reklamowany, nowy instrument polityki międzynarodowej, który nadawał się jakoby do każdego problemu, jak wytrych do każdego zamku — zawiódł. Demarche w Berlinie, to żałosne widowisko, wykazało, że w gronie „najdostojniejszych i największych" każdy chce czego innego. Prasa paryska woła donośnie, „Le pacte a volé en eclats!". Z paktu poleciały wióry. „Wsiedliśmy w Rzymie na paskudną tratwę, którą coprędzej trzeba zatopić" — pisze radykalny „*Quotidien*".

Szeroka opinja francuska doszła do przekonania, że zawierając pakt czterech, Francja popełniła rzecz niezręczną, godną pożałowania, z której należy się coprędzej wycofać. Wybór drogi pośredniej pomiędzy dyplomacją tajną a jawną, jaką poszły metody paktu, okazał się fatalną pomyłką i praktyczną niemożliwością. Francja i Anglja zastosowały w demarche metodę jawności, zaś partner włoski obrał taktykę tajności. W Paryżu dowodzą, że ambasador włoski w Berlinie p. Cerutti udał się „cichaczem" na Wilhelmstrasse, o czem ani Francuz, ani Anglik nie wiedzieli. W Rzymie kategorycznie zaprzeczają, co nie zmienia jednak faktu, że kwartet, nie zdobywszy się w sprawie demarche na zgodne unisono — dowiódł swej kompletnej niemocy politycznej.

Zastępca

ZE SKRZYNKI POCZTOWEJ LIGI REFORMY OBYCZAJÓW

Jedna z młodych członkiń Ligi, wychowana przez zakonnice, pisze o wpływie, jaki na jej duchowe życie wywierało owo wychowanie. Podajemy z jej listu wyjątki:

...„Zakład prowadziły S. S. Zmartwychwstanki. Siostra Marcelina, nasza opiekunka, była kobietą szczupłą, o ostrym profilu z haczykowatym nosem i mocno błyszczących oczach, w których się palił nadmiar życia. Jej metody wychowawcze były bardzo zdecydowane. Pewna część *modlitw rannych i wieczornych* objęta była regulaminem, od którego nie mogło być odchyleń. Ale oprócz modlitw przepisowych siostra polecała szereg praktyk dowolnych. Żeby jednak nas do nich zmusić, stosowała ona system wyróżnień i przygan. Wytworzył się też zastęp obłudnych świętoszek, które zręcznie lawirowały między swojem życiem ukrytem a zewnętrznem. I były inne, które na pewien czas ogarniała histeryczna egzaltacja religijna: to były istne ofiary metod Siostry Marceliny... Najtragiczniejsza jednak sprawa to były comiesięczne spowiedzi. Zaczynało się od nauczania, co to jest spowiedź dobrze odbyta, jak strasznym grzechem jest zatajanie jakiejś przewiny, jakie kary czekają tę, co nie powie prawdy lub niedbale przygotuje się do spowiedzi, jakie łaski i nagrody otrzyma ta, co się dobrze wyspowiada. O, ten głęboki utylitaryzm, ta „interesowność" pobożności!... Djabły i anioły wprost latały między nami, na zawołanie niebo świeciło, lub buchały z piekła płomienie... Tak przygotowane zaczynałyśmy robić „rachunek sumienia". Książki do nabożeństwa zawierały wprawdzie dokładny spis grzechów, ale pod wpływem siostry Anny bałam się zawsze, że dążę do utajenia jakiegoś grzechu... I wyglądało to tak (przygotowanie, t. j. „rachunek sumienia"): Czy rozmawiasz po pacierzu? (Grzech, czy nie grzech?).

Może mam ochotę zataić, więc lepiej wyznam: tak... Czy cudzołożysz?... chwila namysłu, bo przecie nie wiem, co to może być... Ale może djabeł kusi zataić, więc raczej — tak, cudzołożę... Potem — spowiadanie się z nieczystych myśli, nieprzyzwoitych słów, spojrzeń, oglądania i dotykania swego ciała, nieprzyzwoitych obrazków, złych książek... wymawianie imienia Pana Boga nadaremno,... grzechy przeciw postom, księżom, kościołowi i t. p. — Po takim rachunku sumienia człowiek się stawał cały „lepki"... A przecie miało się 14, 15 lat...

Potem trzeba było *odczyniać* jeden nastrój drugim nastrojem, a więc — aktem spowiedzi. Och, to szeptanie księdzu na ucho wstydliwych rzeczy, to wypytywanie jego o szczegóły... Raz, odchodząc od konfesjonału, zobaczyłam, że ksiądz miał roześmianą twarz! Jakto? Więc on się bawił, kiedy ja przeżywałam kolejno tyle męczących rzeczy: niepokój, strach, poniżenie, wstyd, niezręczność... Czy wolno się było śmiać z takiego dziecka? Czy nie trzeba było wejrzeć w jego duszę, w najtrudniejszym okresie jego rozwoju, gnanego przez wasz fanatyzm, — tego dziecka, z którego robiliście histeryczkę.

„Najgorsze było to, że siostry podkopały nasze koleżeństwo. Nie mogłyśmy mieć do siebie, my dziewczynki, zaufania. Siostry bowiem miały doskonale zorganizowany aparat szpiegowski. Wszystko o czem rozmawiałyśmy ze sobą, bywało dokładnie donoszone"...

*

„Obrazek dzieciństwa — bez naturalnej radości, bez przygotowania do życia, jakiem ono musi być; dzieciństwa, w którem wrażliwość duszy wyzyskiwano dla celów niezdrowej egzaltacji, histerji; w tym samym kierunku wyzyskiwano, wynaturzano budzące się porywy ciała. Nieszczęsne dzieciństwo, w którem po świętości wyegzaltowanej wiary w powagę spowiedzi uderzał, jak obuchem, śmiech księdza. Nieszczęsne dzieciństwo, gdzie rolę szpiega odgrywały koleżanki"....

*

Ileż dzieci wychowuje się w ten sam sposób, rozwija pod takiemi wpływami w zakładach, gdzie wychowawczyniami są zakonnice"...

ZAKŁADY DRUKARSKIE
W. PIEKARNIAKA
WARSZAWA, ul. Ordynacka 3. Tel. 644-59, 754-40.

Posiadają działy: zecernia ręczna, linotypy, dział maszyn płaskich, dział rotacyjny, introligatornię i stereotypownię

Specjalność: wydawnictwa perjodyczne i pisma codzienne, ilustracje jedno i wielobarwne, książki naukowe, broszury, tabele, katalogi oraz druki w dużych nakładach

Czytajcie i Prenumerujcie
EPOKĘ
„EPOKĘ"
można zaabonować telefonicznie
TELEFON 285-52

TREŚĆ NUMERU.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.650.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z. 530 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.